

Dariusz Magier

Danse macabre



J u r a z a m i g ł ę b o k e g o
s z a c u n k u

- T o r i u s H a g e r

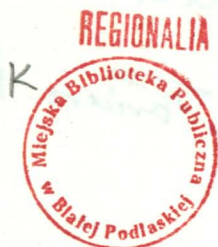
Mojej żonie, Beacie,
za codzienną wspólną walkę z chaosem.

Przyjaciołom, bez których nic nigdy.

Copyright by Dariusz Magier, Piotr Szeliga, Dumaś i Przemysław T. Krupski
Radzyń Podlaski 2002

skład, łamanie, ilustracje, opracowanie graficzne i papieryśy:
Przemysław T. Krupski

forekta:
Adam Świci



109814

821.162.1-4

XIII B.2

Radzyński Ośrodek
Kultury i Rekreacji

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



Druk: "Poligraf" Drelów

ISBN 83 - 905374 - 6 - X

Dariusz Magier
Dance macabre



ilustracje
Przemysław Tytus Krupski

R.O.K.
RADZYŃSKI OŚRODEK
KULTURY I REKREACJI

2002

Podziękowania

Za sfinansowanie wydania książki, a tym samym oparciu się wszechogarniającemu *danse macabre*, składam najserdeczniejsze podziękowania Panu Burmistrzowi Józefowi Korulczykowi oraz Panom Andrzejowi Dziędze Prezesowi Przedsiębiorstwa Usług Komunalnych i Janowi Gilowi Dyrektorowi Zakładu Gospodarki Lokalowej w Radzynie Podlaskim.

Autor

O autorze

Danse macabre (taniec śmierci) to późnośredniowieczna alegoria równości wszystkich wobec nieuchronności śmierci. Przeplatający się ciąg szkieletów i postaci ludzkich, wśród których zarówno żebrak i wieśniak jak szlachcic i biskup w obłądnym, niemożliwym do przerwania tańcu zmierzają ku nieuchronnemu końcu ziemskiej egzystencji i na ławę oskarżonych przed Boskim trybunałem.

Danse macabre to taniec odwieczny, niezmienny, trwający przez stulecia, również dzisiaj. Dla mnie jest symbolem nicości maleńkich ludzkich namiętności wobec wieczności, o której winniśmy pamiętać przy każdym naszym życiowym kroku. Współcześni bohaterowie tańca śmierci to ludzie zaślepieni, zagonieni, zapatrzeni w siebie, wokół których już kręcą się, choć jeszcze niewidoczni, wysłannicy Pani Końca Złudzeń - śmierci.

Średniowieczna idea boskiej równowagi, przywrócenie odpowiedniej hierarchii rzeczom i odkurzenie etosu krzyżowca - oto skromniutki cele tej książeczki. Felietony tu zamieszczone w latach 1999 - 2002 pod pseudonimami *Piotr Szeliga*; *Dumas* ukazywały się w radzyńskim magazynie społeczno-kulturalnym "Groń" (w rubryce: *Danse macabre*; *Czyści i prawi*, *ZONA*), a także na łamach "Nowej Myśli Polskiej", "Szczerbca" i magazynu internetowego *Omen*.

Opuszczamy Europę

Muszę zmartwić wszystkich euroentuzjastów, wiem z pewnych źródeł, że pewnej wiosennej nocy opuścimy Europę. Dla eurosceptyków również nie mam jednak dobrych wieści, zerwiemy unię z Zachodem tylko do jesieni. Po co to całe zamieszanie, pytamy. Otóż z powodu zmiany czasu. Tak to już jest mieszkać na granicy dwóch różnych stref czasowych.

Czas to zjawisko tajemnicze, w gruncie rzeczy niemierzalne. Są chwile, gdy leci na łeb na szyję, zdaje się niepostrzeżenie, gdy sekundy prują przestrzeń jak odrzutowce o prędkości n-machowej. Z drugiej strony zdarza się, że sekundnik zamiera, a minuty ciągną jedna za drugą, jak wyładowany szczelnie wóz ciągnięty przez starą (naszą) szkapę (pokoleniu frugo wyjaśniam, że to: 1. zwierzę pociągowe używane w epoce przedindustrialnej; 2. nowelka Marii Konopnickiej). Znany syndrom 10 minut do końca nie lubianej lekcji.

Ciekawe, że popularna jest teoria przypisująca moc okiełznania czasu zegarom. W literaturze można zetknąć się z motywem skonstruowania zegara, który kieruje czasem. Graham Swift w opowiadaniu „Zegar” pisze o mechanizmie, który funkcjonował bez nakręcania i przez to dawał moc życia swemu właścicielowi. W utworze tym autor zapytuje: „Powiedzcie, co jest bardziej magiczne, złowieszcze, niszczycielskie i kojące zarazem, co lepiej wyraża niezmiennosc i kapryśność ludzkiego losu niż zegar?” Żwirek i Muchomorek ze znanej czeskiej bajki posiadali zegar wyznaczający pory roku, którego uszkodzenie zakłóciło ich rytm. U Zoli zamiast pewnej damy starzeje się jej wyobrażenie na portrecie. Czas przeraża i fascynuje, a pojawienie się sposobów mierzenia go dodało mu tylko tajemniczości.

Pierwsze zegary mechaniczne pojawiły się we Włoszech w pierwszej połowie XIV w., a w 1367 r. ma go już Wrocław. Do końca XIV w. posiadaniem zegarów szczył się i Kraków, i Kazimierz, i Miechów. Upływ wieków kurczył świat, zbliżał kraje i kultury, dlatego należało zrobić też coś z czasem, by nie wprowadzał chaosu lecz pomagał w tym procesie zbliżania. Przyczyniły się do tego badania astrologiczne. Droga do dzisiejszego porządku w zakresie mierzenia czasu wiodła przez czas średni, stworzony w XVII w., oraz czas lokalny. W 1884 r. kulę ziemską podzielono na 24 strefy czasu, wyznaczone przez południki (co 15 stopni jedna godzina). Ciekawostką może być pamiętna batalia o południk zerowy, którą swego czasu stoczyły Paryż i Greenwich. W

Polsce czasem tym posługiwano się praktycznie już od roku 1915, choć oficjalnie czas strefowy przyjęto w roku 1922. Trzeba zaznaczyć jednak, że używany wcześniej czas lokalny też miał swoje uroki, wystarczy wspomnieć o tzw. czasie kolejowym, obowiązującym na pewnych trasach. Zdarzało się np., że czas na jednym dworcu kolejowym różnił się nawet o 1/2 godziny od czasu wskazywanego przez zegary na drugim dworcu w tym samym mieście.

Warto wiedzieć, że w Polsce obowiązuje czas 15 południka na wschód od Greenwich i również stąd jest to czas środkowoeuropejski. Strefy czasowe przebiegają wzdłuż granic politycznych, dlatego czas lokalny w Polsce może różnić się od czasu oficjalnego. W Lublinie wyprzedza go np. o 30 min. i 22 sek.

Czas to zjawisko zespolone na trwałe z ludzką egzystencją. Niegdyś człowiek związany blisko z naturą potrafił go okiełznać, sprawić by działał na jego korzyść. Zegary montowane na ratuszowych wieżach dawały ówczesnym ludziom poczucie pewności swego panowania nad naturą. Dziś czas zdaje się płynąć szybciej. Zegary stały się symbolem uzależnienia ludzkości. Wraz z zanikiem mechanizmów, które trzeba nakręcać, to ludzie wydają się być nakręceni i coraz bardziej popędzani. Widziałem projekt zegara na radzyńskim ratuszu z okresu ostatniej samorządowej kampanii wyborczej. Estetyczny, zastanawiam się tylko co zegar ów wyrażałby dzisiaj, co miałby symbolizować. Domyślam się natomiast, jak ludzie wyglądaliby z wysoka, z jego poziomu. Ozdobne figury starych zegarów zaczynały poruszać się w chwili wybijania pełnych godzin. Ludzie przystawali, zadzierali głowy, podziwiając odpoczywali. Dzisiaj czas, każda jego sekunda wprawia w ruch tłum na ulicach. Patrząc na to z boku możesz pomyśleć tylko, że to już nie poznańskie koziołki, lecz całe stada kozłów. Dziś jak nigdy dotąd widać, że wszyscy jesteśmy trybikami w skomplikowanym mechanizmie zegara wszechświata.

marzec 1999

Pechowy rycerz

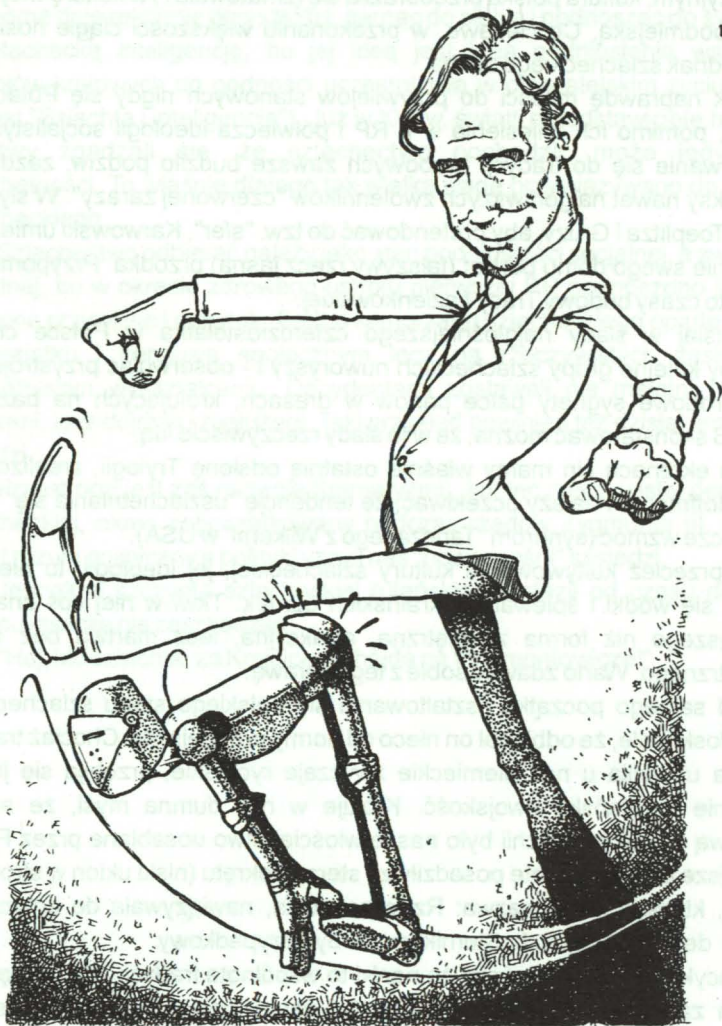
Nieodgadnione i zaskakujące bywają losy Polaków. Starszy mężczyzna poszukiwał materiałów dokumentujących prześladowanie jego osoby przez UB w okresie bezpośrednio powojennym. Zwykła rzecz stalinowskich czasów. Ciągnąc człowieka za język, od słowa do słowa, zorientowałem się, że szans na jakiekolwiek odszkodowanie to on raczej nie ma, choć prześladowany niewątpliwie był i to nie tylko przez jedną stronę konfliktu. Niezwykłe koleje życia tego człowieka przedstawiają się następująco.

Był schyłek hitlerowskiej władzy w Polsce. Jak tysiące jemu podobnych polskich młodzieńców podczas okupacji niemieckiej, człowiek ten znalazł się w jednym z leśnych oddziałów, operujących w okolicach naszego miasta. Traf chciał, że podczas któregoś z pierwszych wypadów po prowiant oddział bohatera naszej opowieści niezbyt elegancko zachował się w jednej z okolicznych wsi, rekrutując chłopom więcej aniżeli nakazywałyby to przyzwoitość i etyka państwa podziemnego. Nie spodobało się to naszemu wojakowi, co - będąc z natury szczerym - nie omieszkął zademonstrować publicznie stwierdzając, że taką partyzantkę to on pier... Nie było to działanie polityczne. Dowództwo oddziału, kierując się potrzebą karności (w partyzantce rzecz nadrzędna) i bezpieczeństwem własnych ludzi, nie mogło przejść nad tym do porządku dziennego, a obawiając się, że tak krytycznie nastawiony żołnierz może stać się zdrajcą, wydało nań wyrok śmierci. Na szczęście "leśny" przyjaciel pechowego partyzanta nie zawahał się ostrzec go przed groźącym niebezpieczeństwem, dzięki czemu ten zdołał uciec z rodzinnego domu i nie widząc innych możliwości zgłosił się jako ochotnik do nadciągającego ze wschodu wraz z Rosjanami Wojska Polskiego. W armii ludowej również nie było mu dane spokojnie dokończyć służby. Po zakończeniu wojny jego formację skierowano do walki z UPA, której bohater nasz bał się panicznie. Po wysłuchaniu barwnej relacji o bieszczadzkim piekle z ust kogoś przybywającego stamtąd, ulotnił się sprawniej niż niejeden Anglik. Dezercja to jednak przestępstwo, którego władza ludowa nie wybaczała łatwo. Poszukiwany przez wojsko i bezpiekę, zdołał przetrwać do 1946 r., kiedy to funkcjonariusze UB ciężko postrzelili go podczas pościgu.

Nic dziwnego, że PRL nie miała podstaw do pałania ku niemu miłością, bo był dezerterem, a w III RP ważne jest przede wszystkim to, że podziemie wydało nań wyrok śmierci za zdradę Narodu i Państwa Polskiego. Mamy więc do

czynienia z prawdziwym renegatem. Oto tragiczna sytuacja dowodząca, iż fortuna szczególnie lubi bawić się Polakami, że robi to od wieków w sposób nad wyraz okrutny. Marzy mi się, by teraz, kiedy staliśmy się jednym z muszkietierów Paktu Północnoatlantyckiego (jeden za wszystkich, wszyscy za jednego), zmienił się nasz pechowy los ofiary potężnych sąsiadów i żeby rycerze nasi nie musieli już walczyć z tym przeklętym geopolitycznym fatum.

maj 1999



Przemo

Z "Ogniem i mieczem" w tle

Socjologowie rozwiewają złudzenia co do szlacheckich korzeni naszej kultury. Przynajmniej teraz, w końcu XX w. Po wojnie, wraz z niespotykanym dotychczas awansem społecznym mas chłopskich, awansem gwałtownym, rewolucyjnym, kultura polska przeobraziła się (zmutowała?) w kulturę wiejską, a ściślej podmiejską. Co ciekawe, w przekonaniu większości ciągle nosimy w sobie jednak szlacheckiego ducha.

Tak naprawdę miłości do przywilejów stanowych nigdy się Polacy nie wyzbyli, pomimo ich zniesienia w II RP i półwiecza ideologii socjalistycznej. Odwoływanie się do tradycji herbowych zawsze budziło podziw, zazdrość i kompleksy nawet najgorliwszych zwolenników "czerwonej zarazy". W słynnym serialu Toeplitza i Gruzy, aby pretendować do tzw. "sfer", Karwowski umieszcza na ścianie swego domu portret (fałszywy rzec jasna) przodka. Przypomnijmy, że były to czasy budowy Trasy Łazienkowskiej.

Dzisiaj w ślady najgłośniejszego czterdziestolatka w Polsce chętnie poszłyby kolejne grupy szlacheckich nuworyszy i - obserwując przystrojone w pseudorodowe sygnety palce panów w dresach, królujących na bazarach Polski B skonstatować można, że w te ślady rzeczywiście idą.

Na ekranach kin mamy właśnie ostatnią odsłonę Trylogii, zrealizowaną przez Hoffmana, i należy oczekiwać, że tendencje "uszlachetniania się" mogą się jeszcze wzmóc (syndrom "Tańczącego z Wilkami" w USA).

A przecież kultywowanie kultury szlacheckiej, jej ideologii, to nie tylko napicie się wódki i śpiewanie ukraińskich dumek. Tkwi w niej coś znacznie ważniejszego niż forma zewnętrzna, atrakcyjna, lecz martwa bez ducha wewnętrznego. Warto zdawać sobie z tego sprawę.

Od samego początku kształtowania się polskiego stanu szlacheckiego widać doskonale, że odbiegał on nieco od normy europejskiej. Chociaż tradycja łacińska utrwaliła u nas niemieckie zwyczaje rycerskie, przebijają się jednak przez nie słowiańska swojskość. Króluje w niej dumna myśl, że solidną podstawą samej monarchii było nasze włościanstwo uosabiane przez Piastów. Późniejsze dzieje szlachtę posadziły za sterami okrętu (niski ukłon w stronę ks. Skargi), którego sama nazwa: Rzeczpospolita, nawiązywała do antycznych tradycji demokratycznych. Sternik ten nie był przypadkowy.

Encyklopedysta wyjaśnia, że naród to wspólnota tradycji, historii, języka i miejsca zamieszkania. W rzeczywistości naród pojawia się wówczas, gdy

jednostka sama określi siebie jako przedstawiciela konkretnej nacji. Polska szlachta osiągnęła to nadszpodziewanie szybko. Przez długi czas tylko szlachta. Największe manifestacje narodowe: konfederacja barska, Konstytucja 3 Maja, powstanie listopadowe i styczniowe były ruchami szlacheckimi. Historia narodu polskiego jest w gruncie rzeczy historią polskiej szlachty. Dziewiętnastowieczny historyk napisze, że "szlachta jest alfą i omegą narodu, bo ona jedna posiada tajemnicę przypodobania sobie nieszlacheckich, a nawet obcych żywiołów, bo ona sama daje rękojmnię przyszłości, garnąc do siebie i podnosząc do swej sfery nieszlachecką inteligencję, bo jej idea jest idea podniesienia wszystkich żywiołów krajowych do godności uczestnictwa w obywatelskim życiu" (Józef Szujski "Szlachta i inteligencja"). Już w XVI w. światli przedstawiciele herbowej warstwy zgadzali się, że szlachectwo pochodzić może jedynie od szlachetności. To właśnie dlatego tak wielką wagę przywiązywano do klejnotu szlacheckiego.

Szlachectwo odbierać należy jako stan podniosłości socjalnej, a zwłaszcza moralnej, bo w okresie zdrowego ustroju pierwszej RP podnoszono je ponad ziemskie przywileje i dobytek. Sedno samorządu szlacheckiego oparte było nie na majątku i cenzusie społecznym lecz na rzeczywistych zasługach i obywatelskim wykształceniu. Decydentami zostawali nie majątni i wysoko urodzeni, lecz dojrzały i zasłużeni. Taki przykład powinien też dzisiaj emanować na ludzi.

Przestroga jest zaś mutacja Sarmatyzmu, koniec rzeczywistej demokracji szlacheckiej, okres zapoczątkowany podczas rządów Zygmunta III, kiedy to zanikł rozum polityczny a polityki uczyli nas "nowocześni" sąsiedzi.

Jednakże szczypta szlacheckiej (ulańskiej) fantazji od czasu do czasu nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

"Hej, kto szlachta, za Kmicicem, hajda na Wołłmontowicz!"

maj 1999

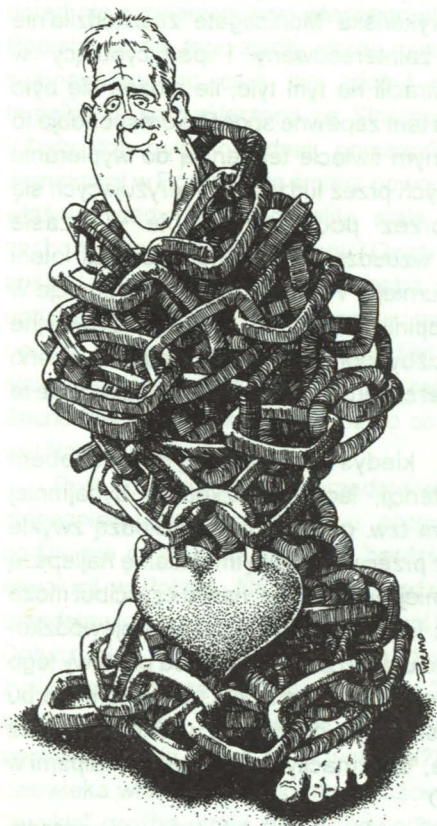
Człowiek łańcuszony

Otrzymałem list. Radość, bo lubię korespondencję. W każdej są znaki, które ktoś stawiał specjalnie z myślą o mnie, widać w nich, a z sensu słów można również wyczuć charakter, stan wiedzy i światopogląd autora. To nie to samo co mówić do słuchawki i słyszeć w niej zniekształcony głos. Tym razem nie był to jednak zwykły list. Ta epistoła przekroczyła ramy wszelkiej przyzwoitości i nie chodzi tylko o stylistykę prosto z koszmaru sennego prof. Miodka. Otworzywszy kopertę przekonałem się, że zawiera ona tzw. "łańcuszek miłości", coś z czym spotkałem się już kiedyś przed laty i o czym zdążyłem, na szczęście, zapomnieć. Początek listu to oczywista próba "zmiękczenia" adresata: "Otrzymaliśmy prośbę ciężko chorego chłopca z Anglii o przesłanie pocztówki z życzeniami zdrowia. Chłopiec cierpi na nieuleczalną chorobę - nowotwór mózgu. Pozostało mu niewiele życia (...)". Dalej następuje swoista instrukcja obsługi "łańcuszka". Co mianowicie mam zrobić? Cytuję: "Pocałuj kogo kochasz, kiedy otrzymasz ten list. Uczyni to cud Ten list został wysłany do Ciebie na szczęście. Oryginał znajduje się w Nowej Anglii. Okrążył świat kilka razy, teraz szczęście zostało wysłane do Ciebie. Otrzymasz szczęście w ciągu 4 dni od daty otrzymania tego listu, jeśli odeślesz go dalej. To nie żarty" (uff, a już myślałem, że ktoś robi ze mnie durnia). "Wyślij ten list do ludzi, o których wiesz, że potrzebują szczęścia (...). Nie zatrzymuj tego listu. On musi opuścić twoje ręce w ciągu 96 godzin". W przeciwnym bowiem razie czeka mnie to, co spotkało np. takiego Jacka Włota, który "wygrał 40 tys. dolarów i stracił je, ponieważ przerwał łańcuszek", bądź Amelię Weil, która "otrzymała list i zapomniała, że ma on opuścić jej ręce w ciągu 96 godzin. W efekcie utraciła pracę". To jednak nie jest jeszcze najgorsze. Oto inne represje, które mają przestrzec mnie przed popełnieniem życiowego błędu i przerwaniem owego "łańcuszka miłości": (...) Gorwalc stracił żonę w ciągu 6 dni po otrzymaniu listu. On zawiódł kontynuację tego listu, mimo że przed śmiercią żony wygrał 95 tys. dolarów na loterii. Pieniądze - zostały przyniesione do domu w ciągu 4 dni po tym jak zdecydował się wysłać ten list". Oczywiście, co tam żona w świeżym grobie, kasa do kieszeni i wszystko ok. W ogóle mamienie forszą wyziera z każdego zdania ("Zwróć uwagę na Constantina P. otrzymał łańcuch w 1963 r. Poprosił sekretarkę o sporządzenie 20 kopii i wysłał je. Parę dni później wygrał 29 mln Dolarów na loterii"). Kłóci się to z zapewnieniem autora, że "szczęścia nie można kupić", co nie przeszkadza mu pisać słowo "dolar" z wielkiej litery.

Cóż, każdy ma swojego złotego cielca. A autorem tym jest podobno misjonarz z San Dontz (!!) w Ameryce Południowej. Boże, nie chciałbym być Indianinem, którego będzie nawracał taki misjonarz. Wiem, że nadciąga koniec wieku, staram się zrozumieć szum wokół New Age, biorę pod uwagę argumenty zapowiadające nadejście Nowego Średniowiecza, czy zmianę oblicza świata w związku ze zbliżającą się Erą Wodnika, ale ciemnota i zabobon powinny mieć swoje granice. Ich ładunek drzemiący w tym liście przeraża mnie. Że też komuś nie żał było 70 gr. na znaczek pocztowy, tym bardziej, że wystął zapewne całą zalecaną ilość kopii, czyli 20. ("Proszę wysłać 20 kopii tego listu, a zobaczysz co się stanie w ciągu 4 dni"). Daje to w sumie 14 złotych polskich!!! Zapewne zawierzył słowom autora listu, który przewrotnie zapewnia: "To prawda, jeśli nie

jesteś zabobonny" (sic!) oraz proponuje obdarzyć tym wyjątkowym "szczęściem" wszystkich "znajomych i przyjaciół". Okazałbym się niezłym przyjacielem, gdybym uraczył czymś takim bliską osobę. Chyba tylko dla kawału. Na końcu epistoły, niczym zaklęcia, tkwią trzy, zdające się krzyczeć, hasła: **PROSZĘ NIE WYSYŁAĆ PIENIĘDZY!!! PROSZĘ NIE IGNOROWAĆ TEGO LISTU!!! TO DZIAŁA!!!** (pis. oryginalna). Na zachętę jeszcze jedno zdanie, które umieszczono tuż przed hasłami końcowymi: "Dolar Maranila otrzymał list i po 9 dniach zmarł". Ot tak, bez sensu, jak przystało na cały ten "łańcuszek miłości". Przyjemnej korespondencji.

lipiec 1999



Sacrum & profanum

Przez ostatnie półwiecze władza traciła sacrum z (użyjmy sformułowania godnego dzisiejszej telewizyjnej popkultury reklamowej) siłą wodospadu, by wreszcie ostatnimi czasy w USA na naszych oczach sięgnąć bruku i zmienić się w profanum sprawowania rządów. I oto tu mała dygresja, znowu za wszystkim stała godna naśladowczyni biblijnej Ewy. W tym przypadku nawet niespecjalnie urodziwa, ale wiadomo wszak nie od dziś, że *de gustibus non disputandum est*. Jeśli kiedykolwiek czyjaś ręka położy palec na czerwonym guziczku samodestrukcji naszego globu, jestem pewien, dyskretna woń kobiecych perfum będzie rozchodziła się wokół niczym zapach ozonu po gwałtownej burzy. Co ciekawe, cała amerykańska "Monicagate" zaszkodziła nie tyle samym politykom (najbardziej zainteresowany i partycypujący w przyjemnościach oraz jego partia nie stracili na tym tyle, ile można się było spodziewać), co władzy w ogóle. W jakiś tam zapewne sposób koresponduje to z obserwowaną w całym demokratycznym świecie tendencją do wypierania zdolnych i silnych osobowości politycznych przez ludzi charakteryzujących się swojską nijakością, wybieranych przez podobnych sobie w czasie powszechnych wyborów największej i wzbudzającej najwięcej emocji loterii naszych czasów. Kochamy wszak teleturnieje. Wieczory wyborcze, emocje w czasie ogłaszania wyników badań opinii publicznej, debaty telewizyjne kandydatów gromadzą olbrzymie ilości ciżby, która, gdyby tylko potrafiła, głośno skandowałaby starożytne hasło *panem et circenses*. I współcześni cesarowie te igryzyska im dają. Gorzej z chlebem.

Plotki o życiu dworskim były kiedyś powszechnym sposobem odreagowania trudów własnej egzystencji, lecz nie szkodziły bynajmniej powadze monarchii, tak jak dzisiejszym tzw. gwiazdom nie szkodzą zwykle tysiące plotkarskich czasopism, a wręcz przeciwnie, dają im reklamę najlepszą z możliwych. Od kiedy jednak, przynajmniej teoretycznie, nawet czyścibut może zostać prezydentem, nie wspominając już o personie niższej, wojewódzko-powiatowo-gminnej rangi. Obraz danego urzędu zależy ściśle od postawy jego przedstawicieli. Powtarzając za znajomym monarchistą Lutosławem herbu Abdank, można rzec, że monarchie istniejące obecnie, z ulubionym przez paparzzich rodem Windsorów na czele, "zeszmaciły się" i są tylko "małpami w złotych kłatkach arystokratycznego ZOO".

Historia nie oszczędziła Polsce doświadczeń królobójstwa, w znaczeniu

zarówno dosłownym jak i symbolizującym każdy zamach na głowę rządzącego, chociaż w porównaniu z szaleństwem obu (wielkich) rewolucji, głowami rodziny Ludwika XVI pod gilotyną i rzezią rodu Romanowych, nie były to, na szczęście, zdarzenia aż tak drastyczne. Mieliśmy, co prawda, przysłowiowego Piekarskiego, co to niestworzone banialuki plótł na torturach po podniesieniu uzbrojonej ręki na Zygmunta III, zamach niezdecydowanych konfederatów barskich na króla Stasia, nieudany atak podchorążych Piotra Wysockiego na włk. x. Konstantego i groteskową próbę zamachu na Piłsudskiego w styczniu 1919 r., kiedy to ordynans przyszłego Marszałka nie wpuścił prawicowych puczystów do pokoju, w którym ten przebywał, "bo Naczelnik śpi i przeszkadzać sobie nie kazał". Dopiero jednak niechlubny mord niespełnionego malarza na prezydencie Narutowiczu wstrząsnął polską opinią publiczną, szczytając się dotąd nie przelaniem krwi własnego władcy (nie licząc na poły legendarnego Popiela, no ale tego zjadły wszak myszy). Toć przecież nawet na zamach na znienawidzonego cara nie zdobył się mistyk (cóż, romantyk) Kordian. Imaginacja sprzymierzona ze Strachem wygrała ze słabym ludzkim ciałem. Wtedy dotyczyło to jednak pomazańca Bożego. Pierwszym zaś owocem demokracji w Polsce była śmierć nowoobranego prezydenta. Znak? A może to właśnie wtedy Rzeczpospolita stała się pełnoprawnym członkiem świata zachodniego, weszła do Europy? Oczami wyobraźni już widzę alegorię Polski w postaci obfitej w kształty kobiety (patrz: alegoria III rozbioru), która w przypiływie entuzjazmu rozdziera szaty (i znowu patrz: Wolność wiodąca lud na barykady, pędzla Delacroix), jakby wykrzyknąć chciała całą mocą swej obnażonej słowiańskiej piersi (nb. Rosjanie uważają, że sprzedaliśmy naszą słowiańskość Zachodowi, czyli dokładnie to samo co my o Czechach): "Oto jestem taka jak wy! Należę do was!"

Polityków i urzędników, przedstawicieli władz państwowych, bezpośrednie niebezpieczeństwo dotknęło u progu Polski Ludowej, kiedy to zbrojne podziemie czyhało na życie co bardziej gorliwych klakierów komunistycznej rewolucji w Polsce. Na Podlasiu, gdzie oddziały leśne miały silne wpływy, przedstawiciele nowej władzy narażeni byli na szczególne niebezpieczeństwo. Dotyczyło to również urzędników radzyńskich. Wolnym od strachu o własne życie nie był także radzyński starosta Tadeusz Bocheński. W jego słowach z tamtego okresu wyczuwamy jednak jakąś niesamowitą wiarę we własne posłannictwo (a może to rezygnacja?) i niezrozumiałą dziś zimnokrwistość człowieka władzy, który po okropnościach wojny i okupacji, nie da się złamać "zwykłą" groźbą utraty życia. Tacy odbudowują świat po okresie wojen. Taką postawę wyraźnie widzę odczytując słowa starosty kierowane do władz

wojewódzkich 28 II 1945 r.: "Stan bezpieczeństwa na terenie powiatu do ostatnich dni przedstawiał się dobrze. (Jednak) w ostatnim tygodniu zaszło wiele wypadków terroru ze strony AK i NSZ. Są dowody, że AK wydała wyrok śmierci na mnie, jako starostę. Zamach nie udał się jedynie dzięki temu, iż jeden z zamachowców, który miał rzucić granat do samochodu, nie wykonał rozkazu, ze względu na to, iż w samochodzie jechała żona moja i syn".

Jednakże cywilizacja rozwinęła się w ostatnim 50-leciu bardziej niż przez ostatnie pół tysiąca lat, dlatego dzisiaj zamach ów zapewne doszedłby do skutku.

lipiec 1999

Bezsenność inteligenta

Lubię być piewą przegranych spraw, to takie uspokojenie sumienia, że nie robiąc niczego, zrobiło się wszystko, co było można, by ratować ten nędzny, acz tak miły sercu człowieka, świat. Jako spec od rozdzierania nie mogę nie zająć się zbawieniem i przekleństwem współczesnego człowieka - telewizją. Telewizja nas atakuje, na program tv próbują złapać czytelnika gazety, telewizja uczy, telewizja bawi, telewizja żywi (reklamy), telewizja ubiera i wyposaża (telezakupy). A jednak, gdy przychodzę z pracy, siadam wygodnie w fotelu, włączam magiczne pudło i nagle... zaczynam tęsknić za cenzurą. Gdzież te czasy, gdy ktoś dbał za nas o prawidłowy dobór programów, taki, który zainteresowałby człowieka, a jednocześnie nie lasował mózgu i nie wychowywał nowych zidiociałych pokoleń pseudoludzi. Przez dziesięciolecia szczyliciliśmy się poziomem wiedzy naszego społeczeństwa, tak kontrastującym z ignorancją np. Amerykanów. O, jakaż powierzchowna była to wiedza! Co z niej bowiem dzisiaj zostało? Niepotrzebne mi żadne badania opinii publicznej (ich wyniki przygnębiają mnie jak nic innego), wystarczy spojrzeć na ramówkę stacji telewizyjnych. Przyjrzyjmy się godzinom największej oglądalności, powiedzmy 16 - 22. Czytam program TV publicznej (TVP 1, TVP 2 niekomercyjna, he, he): minimum 4, obowiązkowo debilne, teleturnieje, hit ostatnich czasów - telenowełe w stylu: "Senator proponuje żonie wspólny wyjazd do Brukseli. Barbara jednak mu już nie wierzy i zdecydowanie odmawia. Tymczasem Wiesiek przeżywa osobisty dramat, ponieważ został wysłany na przymusowy urlop. Mieszkanie Kate zajmują Tomek z Ewą. Pan Dionizy dostaje w prezencie herb rodzinny", albo inny przykład, tym razem w rubryce "Hit dnia": "Zdenerwowany Jerzy pokazuje Ninie co Lidka zostawiła w jego domu. Nina usprawiedliwia siostrę jej fatalnym stanem psychicznym". Jaka telewizja taki hit. Znajdzie się też coś dla zwolenników zagranicznej "sztuki": "Stephanie zamierza doprowadzić do ponownego połączenia Ridge'a i Brooke. Tymczasem Ridge ma żal do swego ojca, którego podejrzewa o podstępne odebranie mu narzeczonej. Jake mówi Margo, że jest zakochany w mężatce". Fascynujące, nieprawdaz?

A może jakiś film spoza rodziny telenowel. Wybór jest ogromny. Jakiś czas temu mówiło się w Polsce o pojawieniu się tzw. prozy menstruacyjnej (np. Gretkowska, Filipiak), "Ally McBeal" (coż, spoza TV publicznej, ale nie mogłem się powstrzymać) to nawet nie menstruacyjny serial, to już sama menstruacja.

Przejaskrawiam, powiedzą niektórzy. Inni dodadzą, że są przecież w naszej TV i wartościowe rzeczy. Owszem, są. Ale jak znaleźć je pośród chlamu? Teatr Telewizji, pozycja wielce zasłużona dla polskiego społeczeństwa która przez lata umożliwiała kontakt ze współczesną sztuką dramatyczną, nie wytrzymał konkurencji i został przesunięty na późniejszą porę i pojawia się co drugi tydzień. Tylko patrzeć, jak przesuną go na godziny późnonocne, gdzie i tak przegra z filmami pełnymi roznegliżowanych par i twardych panów. Wertuję program telewizyjny. "Niecierpliwość zmysłów" sztuka teatralna w cyklu Studio Teatralne Dwójki, niedziela, godz. 22.40; transmisja koncertu z festiwalu FAMA'99 godz. 23; z cyklu "Mistrzowie kina" film Lindsay Anderson pt. "Rocznica" godz. 23.40; "Prawo i pięść" J. Hoffmana 23.45-1.15. Ale wszak nie tylko filmem żyje człowiek. Oto ciekawe rozmowy Jerzego Markuszewskiego z Kazimierzem Brandysem od 23.00; reportaż pt. "Strażnicy Lenina" godz. 1.40 (wnocy!!!).

W ten prosty sposób uzyskaliśmy obraz współczesnego polskiego inteligenta, widziany oczami dyrektorów programowych TVP SA. Przede wszystkim, jest to grupka niewielka, o względy której zabiegać nie ma co, bo nie dość, że straci się cenne punkty tzw. oglądalności, to jeszcze zmarnuje bloki reklamowe, wiadomo bowiem, że jako warstwa nędźnie opłacana, nie usatysfakcjonuje co bardziej uznanych reklamodawców. Ponadto jest to człowiek bezrobotny (nie musi rano wstawać) lub cierpiący na bezsenność, zapewne z powodu upadku poziomu współczesnej kultury masowej.

Dlaczego jednak ja narzekam. Zawsze przecież mogę obejrzeć coś dla przeciętnego zjadacza chleba, a nie pozować na Bergmana. Może to, kolejny odcinek serialu "Viper", nadawany w porze słynnej "Kobry": "Thomas i Carmen ścigają podejrzanego samochód. Podczas pościgu skaner alarmuje o zbyt wysokiej temperaturze karoserii (!! - przyp. aut.). Dochodzi do gwałtownej eksplozji, z której tylko cudem uchodzą z życiem. Okazuje się, że samochód był zdalnie sterowany, a trop prowadzi do Evangeline Reines, odsiadującej obecnie karę w więzieniu". Uff.

Tak sobie myślę, że przydałoby się kilku pozytywistów, którzy zajęliby jakieś eksponowane stanowiska w najważniejszych stacjach telewizyjnych i co jakiś czas przemycali w porze największej oglądalności coś wartościowego, nie bojąc się, że to zabije 1/3 telewidzów. Zawsze pozostaje nadzieja, że przed telewizorem (może przez nieuwagę) zostanie jednak paru ludzi, którzy rozmyślnie nigdy by danego programu nie obejrzeli, i coś pozytywnego zostanie w ich głowach. Tak, wiem, że to utopia. Tak po prostu być nie może. Nie dzisiaj. Dlaczego? Już wyjaśniam posługując się cytatem z mego ulubionego

tekściarza współczesnego fine de siecle'u: "Mój świat, powiadam, jest chory/
władają nim potwory/ Jest coraz bardziej normalne, tylko to co jest bardziej
nachalne/ Najlepsze jest to co się sprzedaje/ chujowe to, co sprzedać się nie da/
Každy to widzi, w środku miasta/ statua gówna wyrasta".

P.S. Urażonych słownictwem nie przepraszam. Niech to zrobi Kazimierz
Staszewski, w końcu to jego licentia poetica.

wrzesień 1999



Parami na boisko

Dzieje życia szkolnego to trybik w maszynie historii ustrojów społeczno-politycznych i kultury wychowania. Przekrój metod wychowawczych mamy więc wielce bogaty, poczynając od oślej ławeczki, a na propozycjach działań nauczycielki z filmu „Młodzi gniewni” kończąc. W dzisiejszych czasach szybkich zmian w każdej dziedzinie życia zdarza się nam zatęsknić do okresów, w których ustalone normy pozwalały rodzicom spokojnie, stanowczo, rygorystycznie zaszczepiać dzieciom, wspólnie ze szkołą, te same wartości, w których sami byli wychowywani. I tak trwało to parę pokoleń. Doczekaliśmy jednak chwili sprzężenia zwrotnego, w którym bardzo często dzieci muszą zająć się edukacją swych rodziców, gdyż ci, zajęci przemianami politycznymi i strachem przed pauperyzacją, przespali potężny skok technologiczny, który się na ich oczach dokonał. W konsekwencji prowadzić to musi do ogromnych przewartościowań, bo miejsce autorytetu rodzicielskiego wypełniają zaraz inni ludzie, idole, telewizja. W porównaniu z nimi, my, rodzice, wypadamy blade i niepewnie. Nie mam większych wątpliwości, że szkoła, uwikłana w nieustającą

walkę o byt, nie zastąpi nas również w tej chwili. Jakaż więc czeka nas przyszłość?

Oto dlaczego wolę skłaniać się ku przeszłości. Niewielka odległość czasowa oddzielająca teraźniejszość od początków mojej własnej edukacji nic w historii nie znaczy (a coś dopiero w wieczności), ale i tak życie ówczesnej szkoły byłoby dla dzisiejszych uczniów egzotyczną prehistorią. Nie biadolę nad tym, broń Boże, z dzisiejszego punktu widzenia jest to również dla mnie egzotyka. Cóż tu dużo mówić, skoszarowywano wtedy uczniów i w taki model edukacji wstąpiłem w drugiej połowie lat 70. Proporce klasowe, niczym armijne sztandary, hymn klasowy, śpiewany dzień w dzień przed pierwszą lekcją, który wyzwał miał adrenalinę i



bojowy nastrój, raporty dyżurnych (dyżurny klasy entej, taki a taki, zgłasza klasę gotową do lekcji takiej a takiej. Stan klasy tyłu i tyłu. Przygotowani wszyscy). Nad poziomem klasy była natomiast szersza formacja: porządek szkolny, hymn szkolny, apele, raporty szkolne. Na co dzień zaś granatowy mundur, biały kołnierzyk, tarcza. Na lekcji wuefu jednakowe podkoszulki i szorty. Horror dla indywidualistów. Kto miał pecha uczęszczać do szkoły "o zaostrożonym rygorze" skazany był na dalsze tego typu przyjemności, np. zunifikowane bereciki z półtoracentymetrowymi antenkami. Problemy egzystencjonalne Kevina Arnolda z "Cudownych lat" w porównaniu z tym wydają się pestką.

Śmieszne to dzisiaj, ale i zadania szkoły były wówczas jasno wyznaczone, bo młodego człowieka przygotowywano przede wszystkim do służby socjalistycznej ojczyźnie. Jeśli tak egzotycznie było w latach 70, coś mówić dopiero o wspomnieniach szkolnych pokoleń starszych, rozpoczynających edukację wraz z odradzaniem się szkoły po hitlerowskiej okupacji. Poniższe spostrzeżenia kierownika szkoły powszechnej w Radzynie, Zygmunta Paszkowskiego, pochodzą z wczesnej jesieni 1945 r. Na posiedzeniu Rady Pedagogicznej kierownik zapowiedział, że "aby osiągnąć odpowiedni stopień karności [...], należy ujednolicić pociągnięcia wychowawcze na terenie szkoły". W ramach tych pociągnięć ustalono np. te same dla wszystkich uczniów modlitwy przed lekcjami ("Duchu Święty..." i "Królowo Korony Polskiej") i po lekcjach ("Dzięki Ci, Boże..." i "O Mario, Królowo..."). Ujednolicono powitanie i pożegnanie nauczyciela, które miało mieć charakter następujący: uczniowie wstają, a nauczyciel, wchodząc pierwszy raz do klasy, wita dzieci. One odpowiadają. Poza tym żadnych głośnych powitań. Dzieci żegnają równo, głośno nauczyciela po skończonej modlitwie. To już niemalże protokół etykiety dworskiej.

Ponadto kierownik Paszkowski przekonywał nauczycieli, że aby można było realizować postulaty wychowania należy dążyć do osiągnięcia karności wychowawczej. "Warunki w naszej szkole - mówił - nastrożają znaczne trudności w utrzymaniu karności wśród dziatwy, ze względu na dużą ilość dzieci, Gimnazjum Kupieckie, Spółdzielnię Księgarską, zmiany klas. Zostaje ustalone, że dziatwa w dni pogodne na przerwy wychodzi parami na dziedzińiec. Dyżurni klasowi ułatwiają nauczycielowi dyżurującemu pracę zarówno w klasie, jak i na dziedzińcu szkolnym. Dzieci z piętra wychodzą drzwiami bocznymi, z parteru frontowymi [...] Gdy chodzi o spóźnienia uczniów, należy by uczeń spóźniony wchodził do klasy, ale musi być odpowiednio pouczony, wreszcie ukarany, np. (powinien) napisać pracę [...], kara zaś musi być wyegzekwowana".

Czas odsyła do lamusa również stare metody dyscypliny szkolnej i

zapewne kartki wypełnione setkami czy tysiącami (w zależności od skali przewinienia) zdań zaczynających się od słów: "Nie będę...", szukają już sobie miejsca obok szkolnej kozy. Bo też i dziwnie by to wyglądało, gdyby współczesny krnąbrny wyrostek niezdarnie gryzmołił w kajeciku: "Nie będę wymuszał haraczy od młodszych kolegów. Nie będę wymuszał haraczy od młodszych kolegów. Nie będę...".

wrzesień 1999



Jak wybrało twoje ciało

Skalam niestety swoje męskie gniazdo i powiem, że wielu moich znajomych i kolegów to szowinistyczne świny, daleko im do nowoczesnych mężczyzn, a co gorsza w ogóle nie rozumieją współczesnej kobiety. Sztyło z worka wyszło za sprawą (kto by się spodziewał) prasy, konkretnie prasy kobiecej, jeszcze konkretniej "Twojego Stylu". Nie na darmo moja żona twierdzi, że to najlepsze pismo dla kobiet w Polsce. Dotąd nie wierzyłem, bo będąc za równouprawnieniem nie dzielę prasy na kobiecą i męską tylko na dobrą i złą. Jednakże, dzięki sierpniowemu numerowi pisma, zostałem nawrócony. Teraz więc z gorliwością neofity składam samokrytykę. Tekst, który tak obnażył kolegów, to psychotest, ale nie jakieś tam infantylne bzdury w stylu "czy jesteś tolerancyjny i co musisz zrobić, by takim być". To nie w stylu "Twojego Stylu".

Szanowne redaktorki poszły dalej i skupiły się na odpowiedzi na pytanie dręczące wszystkie wyzwolone (biada innym) kobiety: czy pod względem seksu wybrały odpowiedniego partnera życiowego. Po co słuchać serca (mickiewiczowski przeżytek) czy angażować niepotrzebnie drogocenne płyty mózgu. Psychozabawa robi to za ciebie przy pomocy kilku niewinnych pytań testowych. Są one proste, dotyczące każdego normalnego (czyt. nowoczesnego) człowieka. Chcąc dowiedzieć się czegoś o sobie podetknąłem je żonie, wzięłem kartkę, długopis i odpowiadamy. Pytanie pierwsze (dla Niej): "Najwięcej przyjemności sprawia ci pozycja: a) on na Tobie; b) Ty na nim; c) on z tyłu". Nic w tym zdrożnego, nie jesteśmy dzikusami z filmu "Walka o ogień", lecz ludźmi cywilizowanymi, bezpruderyjnymi, jasne, że odpowiedź "c". Kolejne pytanie, i kolejne. Beata dochodzi do pytania sprawiającego jej najwięcej frajdy: "Idealny prezent na jego (czyli moje - przyp. aut.) urodziny to: a) noc z luksusową call-girls; b) przygoda z Twoją najlepszą przyjaciółką; c) Ty, on i jeszcze jedna kobieta". Marszczy nos, co by tu wybrać? Zna mnie, wie, że pragnąłbym wszystkiego po kolei. Może jednak "c" - też chce mieć z tego trochę przyjemności. Następny punkt: "Seksowne męskie ciało to: a) szczupłe, młodzieńcze, w stylu Leonardo DiCaprio; b) delikatnie zaokrąglone á la John Travolta; c) umięśnione i owłosione typu Andy Garcia". Każdy, kto mnie zna, powie bez namysłu, DiCaprio (przepraszam, DiCaprio) to moje drugie imię. Jeszcze kilka innych pytań i przechodzimy do mojej puli. Teraz ja muszę wybrać czy uwielbiam jak kobiety wbijają mi paznokcie w plecy w chwili ekstazy, bądź jak kołyszają się im piersi, jak często zdarza mi się dzielić żonę ze swoim

przyjacielem (średnio raz w tygodniu) i czy dostaję od Beaty na urodziny dwie call-girls na całą dobę. Najpierw przychodzi mi do głowy, że żona chyba już mnie nie kocha, bo jeszcze takiego prezentu mi nie zafundowała, ale potem dochodzę do innego wniosku. Zrobiłaby to, gdyby było ją stać. Tak, to ewidentna wina braku kasy. Oto jak sytuacja materialna staje na przeszkodzie wspaniałemu nowoczesnemu pożyciu małżeńskiemu. Zakreślam: "b", "b", "c", "a", "b". Podliczam. Ona podlicza. Okazuje się, że moja kobieta marzy o "mocnym uczuciu i delikatnych pieszczotach", ale ja, ordynus, niestety, nie

potrafię jej tego zapewnić. Moje pożądanie spala mnie i każe dążyć do szybkiego seksu, dla niej zbyt ostrego. Gazeta podpowiada, bym konsumował związek w bardziej romantycznych miejscach niż kuchenny stół lub winda.

No tak. Szczera prawda. Cyganka prawdę ci powie, "Twój Styl" również. Zwłaszcza winda dała mi do myślenia. Jestem zachwycony poziomem psychozabawy, choć to trywialne słowo nie oddaje w pełni wartości testu.

Muszę kończyć. Biegnę na pocztę. Prenumerata tylko do 15 listopada.

październik 1999



Duch budowniczych katedr

Przy okazji poświęcenia nowego kościoła radzyńskiego p.w. Błogosławionych Męczenników Podlaskich, (nareszcie kościół, który wygląda jak kościół), nawiedziły mnie myśli o architekturze. W budynku musi tkwić to coś, co sprawia, że emanuje spokojem, pasuje do otoczenia, dobrze służy celom, dla których go przeznaczono. Nie ma dyskusji co do tego, że "duszę" taką powinny posiadać świątynie. Duszę tchnie w gmach serce i ręka architekta. Na przykładzie większości dzisiejszych obiektów sakralnych widzę jednak upadek sztuki budowlanej.

O dreszcz emocji przyprawiają natomiast najstarsze europejskie style architektoniczne. To właśnie one świadczą o potęgze i możliwościach sztuki rzemieślniczej. Jednakże nawet tu, stojąc przy świątyni na placu obok starego cmentarza radzyńskiego, wystarczy podnieść głowę i prześlizgnąć się wzrokiem po murach z czerwonej cegły, by usłyszeć echo potęgi budowli sakralnych pierwszych czterech stuleci naszego tysiąclecia, wyczuć drżącą potęgę i resztki mistrzowskiej sztuki wznoszenia katedr. Jakże zaś wrażenie na współczesnych, związanych z ziemią jak robactwo (*memento mori*), wywierać musiały średniowieczne katedry Europy Zachodniej!? Sztuka architektoniczna nigdy już nie wspięła się na podobne szczyty mistrzostwa, zaprzeczając tym samym regułom rozwoju cywilizacji. Czyż nie tkwi w tym jakaś niesamowita tajemnica?

Mroki średniowiecza to mroki pozorne, mroki, które tworzy nasza ignorancka kultura dnia dzisiejszego. Ludzie wieków średnich byli bardziej otwarci na świat, rozumieli naturę bardziej, niż wcześniej sądziła nauka. Nie może być mowy o średniowiecznej stagnacji i ciemnocie. Wręcz przeciwnie, wieki średnie to czasy niespotykanego nowatorstwa, a wręcz rewolucji technicznej. Znany mediewista Jacques Le Goff twierdzi, że to właśnie średniowiecze, a nie antyk, wyposażyło Europę we wszystko, czym jest ona dzisiaj. Ewentualne mroki tkwią więc w nas, nie w sednie kultury średniowiecznej, a tajemnica związana z eksplozją budownictwa sakralnego po roku 1000 jest niezaprzeczalna. Zabawmy się w nią i my.

Wydaje się, że budownictwo religijne nie może obejść się bez wtajemniczenia. Wymaga ogromnego mistrzostwa, poddania sobie materii przez kamieniarzy, cieśli i murarzy. Przynajmniej wymagało niegdyś. Skąd wzięła się ta znakomita znajomość materii, niemal magiczna? Budownictwo

kojarzy się z kamieniem, a kamień z alchemią. Mircea Eliade przekonuje, że kamień to archetyp absolutnej rzeczywistości, życia i świętości. W północnym portalu katedry w Chartres, pod niewielką płaskorzeźbą widnieje napis: *Hic dimittitur Archa Cederis*. Wiadomo, że słowa są niedoskonałe w porównaniu z ludzką myślą, zwodnicze, zamazujące sedno, zwłaszcza dla ludzi kulturowo obcych, ale coś może oznaczać informacja o Arce złożonej w tym miejscu, z której należy skorzystać, dzięki niej działać?

Pierwszymi ludźmi, którzy z morza barbarzyństwa wczesnego średniowiecza wylawiać zaczęli klasyczne skarby kultury, manuskrypty starożytnych traktatów, byli mnisi św. Benedykta z Nursji (benedyktyni). Przypomnijmy sobie przebogatą, tajną, bibliotekę opactwa benedyktyńskiego "gdzieś na północy Italii" w ekranizacji powieści "Imię Róży" Umberto Eco, w reżyserii Jeana Jaquesa Annaud'a. Zakon ten jako pierwszy zajmuje się kwestią budownictwa sakralnego. W działaniach benedyktynów widać misję stworzenia swoistego instrumentu rozwoju duchowego ludzkości. Pierwsi zrozumieli, że bez tego instrumentu człowiek to tylko dwunożne zwierzę pozbawione wyższych celów i wartości. Czy to w gromadzonych pismach starożytnych benedyktyni znaleźli wiedzę o istocie materii i jej podległości różnym siłom, nie wiadomo, faktem jest natomiast, że w przeciągu kilku stuleci to z ich klasztorów wypływa sztuka rzemieślnicza, murarska (mularska, jak mówiono niegdyś), która zachwyci świat i którą nawet dzisiaj jest w stanie zgłębić (i to tylko teoretycznie) niewielki krąg osób. Pojawia się styl romański, którego budowniczymi będą zrazu wyłączne benedyktyni. Historia zachowa pamięć o cudach stylu romańskiego: opactwach w Cluny czy Jumieges. Nb. rękę na nie podniosła dopiero bezbożna rewolucja francuska. Rozpowszechnienie mistrzowskiej sztuki budowy wymagało dopuszczenia do "kręgu wtajemniczenia" również ludzi świeckich, stąd pojawiają się w klasztorach tzw. bracia wolni, nie zakonnicy, lecz (wbrew nazwie) należący do zakonu.

Pomimo niewątpliwej wyjątkowości stylu romańskiego, świątynie benedyktyńskie były jednak gmachami tylko dla zakonników, a interes rozwoju i sens istnienia tej wyjątkowej sztuki wymagał udostępnienia jej owoców ludziom. Droga prowadzącą do tego był zakon z Citeaux, założony przez benedyktyna Pierre'a z Molesmes (cystersi). Eksplozja sztuki wznoszenia gmachów, jak gdyby symbolicznie, następuje wraz z rokiem 1000. "Kiedy się zaczynał rok po tysiącleciu - donosił kronikarz mnich Raul Glaber z Dijon - w całym świecie chrześcijańskim (...) zaczęto odnawiać kościoły (...). Zdawało się, że świat otrząpał pył ze starych szat, aby włożyć białą suknię swoich kościołów". Białe

suknie (płaszczce), przywdzieli również mnisi-rycerze Zakonu Świątyni (templariusze), których reguła, przypisywana św. Bernardowi z Clairvoux, oparta była na regule cystersów.

Po zdobyciu Jerozolimy 9 pierwszych templariuszy powraca z Ziemi Świętej do Francji i sukcesywnie, rozwijając się, zakon ich przejmuje opactwa benedyktyńskie, wraz z mistrzami i rzemieślnikami budownictwa. Wówczas pojawia się gotyk.

Analizując oba style stwierdzić można niemal, że niemożliwe wydaje się ewolucyjne przejście od stylu romańskiego do gotyku, który stanowi zupełne odwrócenie zasad tego pierwszego. A przy tym ta niesamowita, jak na ówczesne czasy, sztuka geometrii. I znowu tajemnica i znowu mistyka. Kamień to alchemia. Z alchemią, zapewne nie bez podstaw, wiąże się zakon templariuszy. Alchemia to kamień filozoficzny i złoto. Georg von Welling w dziele "Opus Mago-Cabbalisticum" twierdzi, że celem alchemików nie jest wejście w posiadanie tajemnicy produkcji złota, jak sądzi się powszechnie, ale coś o niebo ważniejszego - zgłębienie wiedzy o tym, jak zrozumieć Naturę wychodzącą od Boga, a Boga widzieć w naturze. Dodajmy, że złoto to alchemiczny symbol nieśmiertelności. Droga do produkcji złota byłaby więc drogą do osiągnięcia zbawienia. Katedry doskonale wpisują się w tę koncepcję. Znamy legendy o bogactwie Zakonu Świątyni, dodajmy, bogactwie nigdy nie odnalezionym po kasacie zakonu. Kościoły templariuszy były zwykle pod wezwaniem Naszej Matki (Notre-Dame), legenda zaś głosi, że w każdej katedrze Notre-Dame jest skrytka z fragmentem kamienia filozoficznego.

Pod opieką Zakonu Świątyni budowniczy katedr (mularze) osiągają szczyty umiejętności i pracowitości. Tylko w drugiej połowie XII w. w samej Francji rozpoczyna się budowę katedr w Senslis i Laon (1153), Paryżu (1163), Poitiers (1166), Sens i Lisieux (1170), Soissons (1175), Borges (L190) i Chartres (1194). Jakiż to ogromny wysiłek i koszt! Patrząc na katedry widzimy niezwykleą wiedzę techniczną, naukową i humanistyczną, czyli najpełniejszą księgę natury.

Mistrzowie mularstwa, bracia wolni, w Zakonie Świątyni organizują się w bractwo "Dzieci Salomona". Od jerozolimskiej świątyni (podobno niezwyklej urody) czy od Zakonu Świątyni Salomona? Po rozbiciu zakonu, mularze z bractwa "Dzieci Salomona" zostali uwolnieni przez króla Ludwika Świętego i odtąd stali się wolnomularzami, a zawierucha dziejowa rozproszyła ich po świecie. Ich wiedza pozostała, lecz uwiędła, jakby odcięto ją od inspiracji i źródła natchnienia, którym jest Bóg. Ci zaś, którzy samowolnie nazwali siebie wolnomularzami, a murarkę zastąpili inżynierią społeczną - choć przyjęli niektóre obrządk i tradycje cechowe budowniczych katedr - natchnienie wydają

się czerpać z zupełnie innych źródeł. Architektura nigdy już nie wspięła się na równie wysokie szczyty jak w drugim i trzecim wieku drugiego tysiąclecia, ale i tak dzieło budowniczych katedr doprowadziło ludzi do stanu rozbudzenia duchowego, który wyrwał (i ciągle wyrwa) ich z podłej egzystencji barbarzyńców. 17 października odczułem to na własnej skórze. Nie jestem jasnowidzem, ale nowe tysiąclecie o krok, a i barbarzyńców wokół nie brakuje. Czekam i mam nadzieję.

liśtopad 1999

Esperanto, chiński i kurs pieczenia

Lubelskie miasteczko akademickie UMCS/AR wydaje mi się najbardziej urokliwe spośród wielu oglądanych na własne oczy. Rzecz jasna, odbieram je już oczami przesłoniętymi mgiełką przeszłości i nie mogę powstrzymać się od porównania z dniem dzisiejszym. Moje studenckie lata przypadły na czas śmierci etosu studenckiego. Na własne oczy widziałem więc różnicę w postawie starszych kolegów, którzy studia zaczynali w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, w porównaniu z młodzieżą szczącą się uzyskaniem matury już w latach dziewięćdziesiątych. Okres moich studiów to partycypacja w tych dwóch różnych światach, odmiennych jak ustroje, w których funkcjonowały. Z przykrością muszę stwierdzić, że porównanie to, przynajmniej jeśli idzie o życie stricte studenckie, wypada na niekorzyść współczesnej żakerii.

Podczas studiów, a raczej w trakcie życia studenckiego w akademiku, zupełnie przypadkowo wpadło mi w ręce sprawozdanie z działalności samorządów domów studenckich z końca lat siedemdziesiątych. Nie ma co udowadniać, że czasy były zupełnie inne. Legitymacja studencka znaczyła wtedy wiele i nie służyła tylko do zniżkowych przejazdów koleją. Dowcip z lat 80, który oddaje nieco atmosferę arki na morzu barbarzyństwa, jaką stanowiło życie studenckie w peerelowskiej rzeczywistości: pytają człowieka, dlaczego zabrania synowi iść na studia. "A po cholere? - odpowiada - Sam mogę go łać". Oczywiście sprawozdania nie muszą dokładnie odzwierciedlać rzeczywiście prowadzonych działań, jednakże te informacje Działu Spraw Studenckich, wówczas mieszczącego się w Chatce Żaka, robią piorunujące wrażenie. Moja pamięć o zorganizowanej działalności na terenie akademików obejmuje zaś jedynie aktywność takich czy innych grup religijnych, choć (na szczęście) z ogromną przewagą SKMA (Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej), co oddaje jakoś procentowe proporcje ilościowe przedstawicieli poszczególnych wyznań w polskim społeczeństwie.

Tymczasem wspomniany dokument z 1978 r. zaznaczał, że "dom studencki spełnia ważną rolę w systemie wychowawczym wyższej uczelni. Jest miejscem kształtowania się trwałych postaw oraz aktywności społecznej studentów. Wspólne problemy i ich kolektywne poszukiwanie stanowią bazę konfrontacji osobowości, charakterów i poglądów społeczno-politycznych". Zgoda, każdą prawdę oczywistą można ubrać w bogaty strój słów, wówczas jednak kryły się za nimi konkretne przedsięwzięcia. Oto przykłady niektórych z nich.

Alfabetycznie:

DS. "Amor" - 1) Tydzień Kultury Studenta I Roku; 2) kurs tańca towarzyskiego; 3) dwa razy w miesiącu wieczory taneczne; 4) grupowe wyjścia do teatru (zastanawiam się ilu studentów dzisiaj choć raz było w teatrze w ciągu 5 lat studiów); 5) ognisko z pieczeniem ziemniaków.

DS. "Babilon" - 1) wieczory muzyki poważnej; 2) wieczory poezji; 3) wieczory taneczne.

DS. "Femina" 1) wieczory piosenki turystycznej; 2) konkurs o Rewolucji Październikowej; 3) quizy kulturalne; 4) bal sypialny, czyli "pidżam party" (pisownia oryginalna); 5) kursy kroju i szycia, gastronomiczny, pieczenia.

DS. "Grześ" - 1) prezentacja muzyki rozrywkowej; 2) kurs języków obcych (esperanto, chiński); 3) spotkania z cyklu 4xM (miłość, młodość, małżeństwo, mieszkanie); 4) spotkanie poświęcone poezji i aforystyce Wschodu.

DS. "Helios" - 1) cykl pogadarek z lekarzami specjalistami z zakresu psychologii, seksuologii i pediatrii; 2) konkurs czytelnictwa prasy; 3) kursy kroju i szycia, pieczenia i gotowania, tańca towarzyskiego; 4) Klub Trzeźwości; 5) turnieje brydża, szachów oraz kibica.

DS. "Z" (Zana 11) - 1) wieczory piosenki i poezji i; 2) galeria jednego aktora; 3) Klub Prezentera; 4) kącik krawiecki i kosmetyczny.

Poza tym rady mieszkańców poszczególnych domów studenckich poświęcały - oczywiście! - dużo miejsca sprawom ideowo - politycznym. Studencki Ośrodek Dyskusyjny organizował spotkania z przedstawicielami wojska, milicji, PZPR, sporo czasu przeznaczano na dyskusje, np. w 1978 r. dotyczyły one "spraw włoskich, libijskich, nowej konstytucji ZSRR". Aktywność niewyobrażalna z dzisiejszego punktu widzenia. Powie ktoś, że tylko na papierze. Otóż nie. Buszując w pokoju przewodniczącego Rady Mieszkańców DS. "Grześ" (rzecz jasna, pomiędzy spotkaniami SKMA), natrafiliśmy kiedyś na materiały (również zdjęcia) dokumentujące te imprezy. Szk. I refleksja: jakie czasy, takie życie studenckie. A jacy studenci dziś, taka inteligencja jutro. A może inteligencja nie jest już potrzebna? Aspirujemy wszak do pełni europejskości, a w Europie takiego fenomenu jak inteligencja nie ma. Być może jednak gdzieś, w jakimś akademiku, istnieje jeszcze tak zorganizowane życie studenckie. Czekam na wiadomości od naszych żaków. Zapewne długo i szczęśliwie.

grubień 1999

Grudniowe rozważania

Zastanawiające jest, jak z każdym rokiem rośnie społeczne poparcie dla decyzji generała Jaruzelskiego o wprowadzeniu stanu wojennego. To, co przed kilkunastu laty potępiane było przez większość społeczeństwa, obecnie znaczna część Polaków ocenia pozytywnie. "Mniejsze zło", powtarzają, zapominając, że za podobne "mniejsze zło" dźwięcznoimienni: Potocki, Rzewuski i Branicki weszli do historii niesławnej i funkcjonują w języku polskim jako synonim zdrady narodowej. Teoria o Jaruzelskim - bohaterze, który nie dopuścił do wkroczenia straszliwej Armii Czerwonej jest kusząca, aczkolwiek wydaje się z gruntu fałszywa. Każdy, kto orientuje się cokolwiek w działalności partii komunistycznych w byłych demoludach, wie, że granice państwowe miały tu znaczenie drugorzędne i dotyczyły jedynie zwykłych obywateli. Aparat partyjny był całkowicie zinternacjonalizowany, a zarazem scentralizowany, stanowiąc pion, na którego szczycie znajdowało się Biuro Polityczne KPZR. To ono decydowało o polityce kadrowej w kierownictwie partii krajów satelickich, ono zdecydowało o powierzeniu władzy w PZPR Wojciechowi Jaruzelskiemu w październiku 1981 r. i jeśli ten postanowił wprowadzić stan wojenny, można spokojnie zakładać, że zrobił to na wyraźne żądanie Moskwy. Nie mogło być mowy o jakimkolwiek uprzedzeniu radzieckiego uderzenia. Przyjmując telefoniczne gratulacje od Breżniewa w związku z objęciem stanowiska I sekretarza 19 X 1981 r. Jaruzelski mówił: "Chcę Wam powiedzieć otwarcie, że zgodziłem się na objęcie tego stanowiska z wielkimi oporami i tylko dlatego, że wiedziałem o Waszym poparciu i że to Wasza decyzja. Gdyby było inaczej, nigdy bym się nie zdecydował (nie chcę, ale muszę? - przyp. aut.). To bardzo ciężkie i trudne zadanie w tej skomplikowanej sytuacji w kraju, w której muszę działać jako premier i minister obrony. Ale rozumiem, że to słuszne i konieczne, skoro Wy tak uważacie". * Oczywiście, jeżeli nie zrobiłby tego Jaruzelski, zrobiłby ktoś inny. Chętni do władzy znajdują się zawsze, choćby miało to oznaczać pacyfikację nastrojów niepodległościowych. No, ale - powtórzę raz jeszcze - była to formacja internacjonalistyczna. Do końca na jej sztandarowych czasopismach widniało hasło: "Proletariusze wszystkich krajów łączcie się". Nic zaś o rdzennie polskich wartościach.

Jednocześnie trzeba jednak przyznać, że "Operacja Z" przeprowadzona została przez generała bardzo skutecznie, co nie było wyjątkowo trudne, zważywszy, że opozycja zdecydowanie odrzuciła rodzące się w niektórych kręgach pomysły tworzenia struktur samoobrony, na wypadek ofensywy władz. Odizolowanie przywódców "Solidarności" całkowicie zdeorganizowało

przeciwników Partii. W sposób rewelacyjny opracowano także operację od strony propagandowej. Już sama mowa Jaruzelskiego w dniu wprowadzenia stanu wojennego, w której przywódca junty nie korzystał z socjalistycznej apologetyki, zapowiadała odwołanie się do głębszych uczuć niż partyjna solidarność. W swych działaniach gotów był widzieć raczej (oczywiście tylko po to, by zyskać poparcie społeczne) wojskowy zamach w stylu Piłsudskiego i odwoływać się do narodu przewidując, że ten, posiadając w genach pamięć



historii, podświadomie dostrzeże tę analogię. Dlatego w swej mowie w "dniu bez Teleranka" nic nie wspomniał o Partii. Wiadomo, odwołując się do patriotyzmu narodu, nie można razić oczu strukturą będącą gwarantem zniewolenia.

Być może ów zabieg generała rzeczywiście był majstersztykiem, który przyniósł spodziewane efekty i dlatego takim sentymentem go dziś darzymy, zaś stanu wojennego nie potępiamy w czambuł. Sam nie mogę wykrzesać z siebie niechęci do Jaruzelskiego. Ach, ta słabość Polaków do munduru. Podejrzewam, że gdybyśmy pamiętali pułkownika Kuklińskiego w stroju galowym, a nie jako uciekiniera w stanie spoczynku, łatwiej byłoby nam się przekonać do jego ofiary.

Nie można zapominać również, że po wyprowadzeniu wojska na ulice odkryto nagle magazyny pełne niedostępnych dotąd, chociaż użytku codziennego, towarów, co świadczyć miało o natychmiastowej poprawie gospodarczej po spacyfikowaniu nastrojów strajkowych. Coś z tego wrażenia musiało zostać w świadomości społecznej.

I tak to trwa i trwa. Już teraz chciałbym przeczytać, co o 13 grudnia 1981 r. pisać będą podręczniki historii za 50, 70, 100 lat. Chociaż nie, po zastanowieniu myślę, że w ogóle bym nie chciał. Byłbym wówczas w wieku matuzaleмовym, i to mogłoby radykalnie skrócić mój żywot.

* - za W. Bukowski, "Moskiewski proces", Warszawa 1999

Władców przydomki wojownicze

Quasi-historyczny poradnik dla przyszłych
rodziców (aseksualny) tudzież pisarzy fantasy

Erykowi, aby wiedział,
poświęcam

*„Cios straszny zadał Zygfryd, aż zagrzało w polu.
Z hełmu się sygnęły niby od pożaru
Rudoczerwone iskry spod ręki bohatera.
I każdy z nich rozpoznał, że się z równym ściera.*

*Też Liudegast wymierzył niejeden groźny cios.
O tarcze uderzali z ogromną siłą swą.
Zwróciło to uwagę trzydziestu jego mężów,
Lecz nim zdążyli przybyć, już Zygfryd był zwycięzcą”.*

Pieśń o Nibelungach

†††

Do księdza proboszcza przyszedli świeżo upieczeni rodzice, by zgłosić swego pierwotnego do chrztu. Sprawnie to szło jednak tylko do momentu, w którym usłyszeli pytanie o imię dziecka. Postękali, popatrzyli - to na siebie, to na osobę duchowną - ale nic nie wymyślili. Ksiądz uśmiechnął się ze zrozumieniem i - biorąc do ręki Litanie do Wszystkich Świętych - rzekł, by wybrali jakieś imię spośród świętego panteonu. Ojciec dziecka otworzył pierwszą stronę, krótko rzucił nań okiem i powiedział:

- Niech będzie ... Kyrie elejson.

†††

Istnieje teoria, że imię kształtuje osobę, która je nosi, wpływa (jeśli tylko delikwent podda się temu) na formowanie się cnót, ale - uwaga! - także cech pejoratywnych. Musi być więc ono przemyślane, relewantne z nazwiskiem tak merytorycznie jak i wizualnie (niektórzy preferują zasadę: długie nazwisko - krótkie imię i odwrotnie oraz średnie, 5-6 literowe, nazwisko - średniodługie imię. Jak mawiają urzędaszy, każdy przypadek musi być jednak rozpatrywany indywidualnie). Przede wszystkim znać trzeba znaczenie miana, które dziecku

nadajemy, jego źródłostów, pochodzenie, tak by być świadomym jakich cech, jeśli teoria o wpływie archetypu na współczesnego sukcesora imienia ma w sobie choć ziarno prawdy, możemy się u własnej pociechy spodziewać. W tym wypadku nie wystarczy postać, która dzisiaj może i jest ogólnie znana i sławna, ale jutro nie będzie znaczyła więcej niż jesienny liść włożony przed laty pomiędzy karty inkunabułu.

Na mnie zawsze silnie oddziaływały przydomki władców, które w połączeniu z imionami tworzą w podświadomości jakiś określony obraz. Jeżeli mają pozytywny wydźwięk to trudno o lepszych patronów. Rodzicom pragnącym imieniem kształtować rycerskość i odwagę swych synów polecam wszystkie podane niżej imiona władców udokumentowanych historycznie. Zawsze to lepsze wzory do naśladowania niżli, tzw. "gwiazdy" (pies ich kąsał) z pierwszych stron kolorowych pism, popularnych seriali południowoamerykańskich (syndrom Isaury) czy moda imion (pięć Aleksander i sześciu Patryków w klasie).

†††

Wojowniczność to jedna z mile widzianych w historii cech monarchów, lepiej jednak mieć króla Iksa I Zdobywcę niż Igreka V Tchórzliwego. Władców, którzy zdobyli przydomek z uwagi na wojowniczność było w Europie kilkunastu, choć o niebo mniej niż tych, co do historii przeszli z mianem określającym wygląd zewnętrzny bądź cechę charakteru. Wojowniczność owa musiała być jednak znaczna, skoro potrafiła wyróżnić ich w rycerskim świecie. Choć zdarzało się, że społeczeństwa "kurtuazyjnie" nadawały swym władcom chwalebne przydomki. Za taki przypadek uważa się powszechnie króla Francji Filipa III Śmiałego, który w historiografii tego kraju uchodzi za monarchę zupełnie bezbarwnego. Jednakże i w jego życiorysie znaleźć można cokolwiek z rycerskich cnót. Królem został np. podczas walk krzyżowych o Ziemię Świętą, umocnił wpływy Francji na terenach cesarstwa (m. in. w Lotaryngii), interweniował zbrojnie w Lyonie i zmarł podczas wyprawy na buntujących się Sycylińczyków. Spotykamy wojowniczych królów, książąt i hrabiów w krajach od Portugalii po Księstwo Kijowskie i od Norwegii po Kastylię. W poczcie władców danego kraju przydomki określające wojowniczność posiadać może nawet po kilku monarchów, którzy tego typu cechą zapadli w pamięć swym poddanym. Może być też tylko jeden, błyszczący wśród innych niczym srebro klingi w błotnym bajorze, bądź może nie być ich wcale. Byłoby to wówczas jakimś tam świadectwem o typie społeczeństw, którymi władali i o tym, co stanowiło

maszynę wiodącą ich kraj ku rozwojowi. Weźmy kraje skandynawskie, wielu tam było królów bitnych, odważnych, słynących z mistrzowskiego władania orężem. A jacy byli ich poddani? Któż nie słyszał o najazdach Normanów, przed którymi tysiąc lat temu drżała cała Europa.

†††

Istniały trzy państwa posiadające w poczcie swych monarchów po trzech władców z przydomkami ewidentnie świadczącymi o ich wojowniczości: Francja (Ludwik Lew, Filip Śmiały, Karol Zwycięski); Księstwo Normandii (Wilhelm Długi Miecz, Ryszard Nieustraszony, Wilhelm Zdobywca); Księstwo Burgundii i Niderlandów (Filip Śmiały, Jan Nieustraszony, Karol Zuchwały). Naszych rodaków hołdujących tradycjom bractw rycerskich ucieszy natomiast, że w kolejnej grupie trzech państw, które miały po dwóch władców określanych rycerskim przydomkiem (obok Norwegii i Anglii, gdzie monarchie istnieją wszak do dziś, towarzystwo to więc doborowe) jest Polska. To pocieszające, że również wśród naszych JKM-ów byli ludzie nie karmieni tylko sałatą, lecz prawdziwi wojownicy potrafiący robić mieczem i obmyślać strategie nie gorzej niż taki, np. Fryderyk Dzielnym z niemieckiej dynastii Wettinów, Fryderyk Bitny - książę Austrii czy Alfonso Wojownik - król Nawarry. Byli to polscy królowie: Bolesław Chrobry oraz Bolesław Śmiały. Pierwszego króla Polski już przez sam fakt, że potrafił przejąć władzę jako jeden z rodzeństwa, które również posiadało znaczne wpływy (synowie niemieckiej Ody), nazwać można władcą przebojowym i energicznym. Gdy dodamy do tego niebagatelne wyczyny wojenne, takie jak: odebranie Niemcom Marchii Miśnieńskiej podczas bezkrólewia po śmierci cesarza Ottona III i dwie udane interwencje na tronie czeskim, przypomnimy sobie największy zasięg jego państwa: Polska, Czechy, Morawy, Słowaczyna, Łużyce, Miśnia, Milsko, górny bieg Łaby, a oczyma wyobraźni ujrzymy żelazne słupy graniczne stawiane na rzece Sali i postać Bolesława rąbiącego szczerbcem w złotą bramę Kijowa (dodajmy, obraz jedynie legendarny, bo brama owa pojawiła się tam dopiero później), dalsze udowadnianie podstaw "chrobrości" Chrobrego nie będzie chyba konieczne. Dodać do tego należy fakt udanych walk w czasie 16-letniej wojny z cesarstwem. Niebagatelną rolę grała również osobista postawa Chrobrego, jego odwaga, pewność siebie (gdy w 1004 r. doniesiono ucztującemu Bolesławowi, że Niemcy złamali ważny punkt obrony, miał powiedzieć lekceważąco: "Toć, gdyby leżli jak te żaby, mogliby już tu być") i okrucieństwo nierzadkie w owych czasach (wybijanie zębów opornym chrystianizacji

poganom i - ulubiona kara pierwszych Piastów - oślepienie stronników Ody Odylena i Przybywoja oraz czeskiego Bolesława Rudego). Oprócz syna Mieszka I, przydomek "Chrobry" nosił także książę kijowski Mściśław II, a w pierwotnym znaczeniu tego prasłowiańskiego słowa znajdują się również takie jego współczesne odpowiedniki, jak przydomki: "Dzielny" (Alfons IV - król Portugalii); "Bitny" (Fryderyk II - książę Austrii); "Wojowniczy" (Alfons I - król Aragonii). Miano "Śmiały" historia przyniosła z kolei również księciu Akwitanii Wilhelmowi VII, królowi Francji - Filipowi oraz hrabiemu Flandrii i Artois - Filipowi. Przydomek naszego Bolesława II wziął się niewątpliwie z jego charakteru, choć w poczynaniach tego króla także zauważyć można wielki talent polityczny, strategiczny i waleczność (oblegał Hradec, dwa razy wyprawiał się do Kijowa i osadzał tam na tronie księcia Izasława). Górę wziął jednak nieokiełznany temperament, rozsadzająca władcę energia, choleryczność i duma łamana przez pychę. Gdy podczas pierwszej wyprawy do Kijowa książę Izasław zażądał, by Bolesław wyjechał mu naprzeciw i jako udzielnemu władcy oddał mu pocałunek, który okazać miał "cześć jego narodowi", Śmiały, nie dość że wyznaczył za to cenę 1 grzywny za każdy krok swego konia, to w dodatku w ogóle nie opuścił siodła i na oczach ludu księstwa kijowskiego wytargał Izasława za brodę. Tenże charakter przyczynił się w efekcie do upadku Bolesława II. Organizującego opozycję antykrólewską biskupa krakowskiego Stanisława (późniejszego świętego i patrona Polski) skazał na śmierć przez obcięcie wszystkich członków. W efekcie musiał uchodzić na Węgry, ale i tam ściągnął na siebie nienawiść, gdy podjechał konno do stojącego na ziemi króla węgierskiego Władysława, co stanowiło wielką obrazę majestatu, a tym samym dumy narodowej.

Inne wojowniczo-rycerskie przydomki władców europejskich to m. in.: "Zwycięzca" (Waldemar II - król Danii, Eryk - król Szwecji, Karol VII - król Francji, Wilhelm - książę brunszwicki, Fryderyk I - elektor Palatynatu); "Zdobywca" (Jakub I - król Aragonii, Wilhelm - książę Normandii i król Anglii, Jan IV - książę Bretanii); "Odważny" (Sancho IV - król Kastylii i Léonu).

†††

Nie ma dwóch zdań co do tego, że najbardziej na wyobraźnię działają przydomki władców germańskich i normandzkich. Cóż bardziej może uruchomić zmysły niż takie postaci jak: król Norwegii, a więc wiking, Eryk Krwawy Topór; Ryszard Lwie Serce - król Anglii, który całe niemal swoje dziesięcioletnie panowanie spędził na wyprawach krzyżowych; Wilhelm Długi

Miecz (choć moja żona wysnuła teorię, że niekoniecznie chodzi tu o miecz, który ja mam na myśli) i Ryszard Nieustraszony (książęta Normandii); Baldwin Żelazne Ramię - hrabia Flandrii, który w IX w. doprowadził do potęgi swoje państwo położone na terenach po lewej stronie Skaldy, a malowniczy przydomek to pozostałość efektywnych walk z Normanami; czy Jan Nieustraszony - hrabia burgundzki, który potrafił scalić liczne księstwa niderlandzkie. Oto imiona wymarzone wprost



dla bohaterów sag fantasy, nie drażniące infantylizmem, a jednocześnie jak najbardziej autentyczne, sprawdzone przez historię. Mistrz polskiej fantasy Andrzej Sapkowski pisał w żartobliwym poradniku dla młodych twórców, że "gdy zawiedzie imaginacja nazewnicza, można sięgnąć do jakichś źródeł, zerznąć stamtąd nazwy i imiona, po czym twierdzić, że to było zamierzone, ba, nawet postmodernistyczne, że to definiuje [...] ontologię stworzonego przez nas świata". Sam zresztą trzyma się tego we wszystkich swych "wiedźmińskich" opowieściach. Imiona co niektórych jego bohaterów są niczym żywcem wyjęte z pocztu królów celtyckiej Irlandii, w którym odczytujemy nibyelfie lub nilfgaardzkie miana: Lóegaire, Tuathal Máelgarb, Ainmire, Aed Slaine, Conall czy Cellach. Również główny heros Roberta E. Howarda, klasyka nurtu fantasy, Conan, nosi popularne imię książąt Bretanii, chociaż z uwagi na przydomki które noszą (np.: Conan Krzywy, Conan Gruby) zaliczyć by ich należało do zupełnie innej bajki.

†††

Skoro imiona wojowniczych władców mogą służyć zarówno ludziom żyjącym w rzeczywistym świecie jak i bohaterom literackim, raz jeszcze, dla utrwalenia, przypomnijmy je w porządku alfabetycznym: Alfons, Bolesław, Eryk, Filip, Fryderyk, Jakub, Jan, Karol, Ludwik, Mściśław, Ryszard, Waldemar, Wilhelm.

Cóż więc pozostaje rodzicom? Obdarzyć odpowiednim imieniem, włożyć w dłoń topór i z okrzykiem: "Odyyyyynniiiiieeeee.....!!!" puścić synowski knorr na szerokie wody życia.

Post scriptum wymuszone równouprawnieniem: Już teraz, pisząc, czuję wokół siebie gęstniejącą aurę rodzącego się pytania: "A co z kobietami? Co z imionami dla córek?" Przyznaję, specjalnie pominąłem ten problem, bo jakkolwiek było w historii parę takich białogłów jak kobieta - bohater Emilia Plater, ich znikoma liczba potwierdza w pełni rzeczywistość ówczesnego świata, kiedy to kobieta w innych sprawach mogła potwierdzać swe cnoty (ech, gdzież te czasy!). Była jednak w naszym kraju białogłowa, którą z powodzeniem można by nazwać pierwszą polską, "matką (i żoną) królów", a jej dzieje nadają się (bardziej niż koleje kilku władców razem wziętych) do przeniesienia na karty książek, kadry filmów i godne są skandynawskich sag o bohaterach, gdzie zresztą zaistniała. Chodzi o siostrę Bolesława Chrobrego, dziewczynę o ślicznym słowiańskim imieniu (uwaga rodzice!) Świętosława. Preferujących obco brzmiące imiona mogą zadowolić miana nadane jej w krajach ościennych, gdzie wymówienie słowa "Świętosława" graniczy z obawą "połamania języka" Sigrida, Astryda, Geira, Gunhilda. Jak już można domyślić się z brzmienia tych imion, życie Świętosławy związane było ze światem normańskim. Pierwszym jej mężem był król Szwecji Eryk Zwycięski, drugim król Danii Swen Widłobrody, ale prawdziwą miłością córki Mieszka I był ulubieniec skaldów - Olaf Tryggvason, przez pewien czas władający Norwegią. Sagi skandynawskie mówią, że byli nawet zaręczeni, ale po burzliwej kłótni, w trakcie której Olaf potraktował rękawicą twarz Świętosławy, zerwała zaręczyny i poprzysięgła mu zemstę. Zemsta dokonała się podczas morskiej tzw. Bitwy Trzech Królów, kiedy to w walce z połączonymi siłami szwedzko - duńsko - polskimi, z mieczem w dłoni Olaf przeniósł się do raju wikingów - Walhalli.

Dziećmi Świętosławy byli: król Szwecji - Olaf Skottkonung, król Danii Harald, król Anglii - Kanut. Sama Sigrida w historii krajów skandynawskich występuje z przydomkiem Storrada, czyli Dumna.

śtyczeń 2000

Strach niewirtualny

Uczestniczyłem niedawno w sympozjum poświęconym komputeryzacji firmy, w której pracuję. Technologizacja, komputery, nowa sieć, nowe oprogramowanie, bazy danych i inne hasła, których mój umysł nie jest już w stanie przyswoić (w czym też niezbyt staram się mu pomagać), w pierwszej chwili oszałamiają i wprawiają w euforystyczny nastrój. Wzdychamy „och!”, „ach!” Rozmarzamy się. Jednakże podczas wykładu o potrzebie stworzenia wirtualnego stanowiska pracy, nad którym, notabene, prowadzone są już prace, m. in. na Uniwersytecie Jagiellońskim, opadły mnie czarne, przynębiające myśli. Nagle uzmysłowiłem sobie, że całkowita komputeryzacja wszystkiego co możliwe stanie się początkiem końca zawodu, który reprezentuję, w formie jaką czas ukształtował w ciągu wieków istnienia. Nastąpi podział na ściśle określone specjalności, wąskie, nudne i proste (prostackie?) do opanowania. Co pozostanie? Umiejętność obsługi programu komputerowego i przetwarzania danych, czyli technologiczna papka, która już dzisiaj panoszy się w mózgach znacznej części populacji cywilizowanego świata.

Postępu nie da się zatrzymać, prawda. Czy na pewno jest to jednak postęp? Technika wypiera zdolność rozumowania i odbiera nam to, co zdawało się charakteryzować nasze człowieczeństwo. Odbiera inwencję i wyłącza kolejne warstwy mózgu z potrzeby działania, przez co uwstecznia. Kilkanaście lat temu akademicy z UAM w Poznaniu wpadli na pomysł, by w szkołach podstawowych zastąpić zwykłą pisownię zdań pisownią fonetyczną. Dopiero po opanowaniu tych reguł uczniowie mieliby powracać do normalnego zapisu słów. To tak, jakby uczyć najpierw obsługi Windows a potem dopiero, po jego opanowaniu, DOS-a. Jak to się dzieje, że chociaż życie jest coraz bardziej zmechanizowane, mamy coraz mniej czasu? Kiedyś rytm pracy wyznaczał cykl dni i nocy następujących po sobie nieprzerwanie, żywiących i dających wytchnienie. Dzisiaj nie wyznacza go nic i wydaje się, że śpiąc tylko 8 godzin już tracimy cenny czas, który można by było poświęcić na produkcję pieniędzy. Maszyny stały się świetnym instrumentem wyzysku człowieka. Kiedyś, w baśniowej epoce bez komputeryzacji, człowiek pracował ręcznie i sam wyznaczał sobie górny zakres pracy, który zdolny był wykonać w ciągu jednego roboczego dnia. Miał czas na odpoczynek, kawę, drugie śniadanie. Teraz, gdy ma przed sobą komputer, każda stracona minuta budzi świadomość zmarnowania czasu, który można było wykorzystać. Z drugiej strony,

pracodawca wie, kiedy pracownik dotknął komputera po raz ostatni, ile jest w stanie z niego wycisnąć i wymaga, by było to realizowane. Uzależnienie w połączeniu z upadkiem etosu kolejnych zawodów. No bo co to za etos spędzić dzień przed ekranem. Już niedługo będzie zapewne jeden tylko zawód - ludzie obsługujący komputer. Stąd już tylko jeden krok do założenia wszystkim wirtualnych (różowych) okularów i połączenia ich w



jeden wielki organizm. Wtedy końcem świata nie musi być kataklizm kosmiczny czy bomba atomowa, wystarczy wyrwanie wtyczki z kontaktu. Przed kilkoma dniami świat przeżywał chwile grozy związane z komputerowym tzw. problemem roku 2000. Odwoływano samoloty, stanęły PKP, ludzie z drżeniem serca oczekiwali technologicznego armagedonu. Co było powodem? Ot, dwie cyferki zamiast czterech w dacie rocznej. Straszne, ale będzie jeszcze straszniej, bo technologizacja postępuje w sposób niepowstrzymany, a drobnych błędów nie da się wyeliminować z naszego codziennego życia. Wyzbywamy się wszystkiego, co decydowało o naszym jestestwie, co nas określało i od razu ustawiało w pewnej pozycji. Już dzisiaj socjolog Neil Postman pyta wprost czy zdołamy zachować naszą oryginalność i człowieczeństwo, jeśli całkowicie oddamy się we władanie myśli technologicznej (Technopol, Warszawa 1995).

Podobno przyszłość ludzkości to ludzie-maszyny, a pierwsze kroki ku temu robimy jednak już dzisiaj. Czy kawałek ciała z chipem komputerowym miast mózgu i plastikowym sercem to jeszcze człowiek? Referendum ludowe odpowiedziałoby dziś, że to maszyna, ale nikt nie zarządza głosowania dotyczącego rozwoju cywilizacji. Informatycy natomiast odpowiedzą, że owszem, to jest człowiek, a właściwie kolejny stopień jego ewolucji, która rwie do przodu niczym słup cyklonu. „Kiedys [człowiek] był, powiedzmy, mrówką

- przekonuje Hugo de Garisem, badacz sztucznej inteligencji - dziś jest homo sapiens. Czy można powstrzymać ewolucję? Pewnie nie, ale, na Boga, dlaczego na naszych oczach?! Czy istnieje alternatywa? Jak zawsze. Stanisław Lem, bardziej już filozof niż futurysta, odpowiada: „Wyższe formy życia na Ziemi w dalszej perspektywie czasu skazane są na zagładę. [...] To zresztą pewna [...] ogólnokosmiczna prawidłowość. Im wyższa cywilizacja, tym większe jej tendencje do autodestrukcji”.

Wsluchajmy się dobrze, może już słychać końcowe odliczanie.

świecący 2000

Kocioł z bigosem

Pamiętam pewne przemówienie gen. Jaruzelskiego z lat 80, w którym - w odpowiedzi na nieprzejednaną dla socjalistycznej zony politykę Ameryki Reagana - powiedział, że my, Polacy, przynajmniej jesteśmy u siebie i nie wydarliśmy nikomu ziem między Odrą a Bugiem. Od zawsze są nasze. Nic bardziej fałszywego. Rzeczywiście, są nasze, ale tylko prawem zasiedzenia. A w ogóle, to najpierw warto zadać sobie pytanie, kim my właściwie jesteśmy?

Jak na środek Europy, na kraj kręgu kultury łacińskiej, Polska ma bardzo słabo udokumentowane początki. Bo też nic właściwie konkretnego nie wiadomo nawet o samym kształtowaniu się państwa. Ani w jaki sposób przodkowie Mieszka I, naszego pierwszego historycznego władcy, skupili władzę nad okolicznymi plemionami (spalone siedziby plemienne świadczą o podboju), ani nie znamy ich imion (Siemowit, Lestek i Siemomysł to postaci na poły legendarne, nie mówiąc już o Kraku, Wandzie, Popielu i Piaście). Nie wiemy też kim oni właściwie byli.

Z punktu widzenia nauki najwięcej zamieszania i krzywdy wprowadza polityka. Dotyczy to zwłaszcza mroku dziejów, gdy z braku dostatecznej ilości źródeł historycznych badacze na usługach politycznych idei tworzą teorie, którymi uzasadniają współczesne działania władz. Tak działo się w wieku XIX, gdy niemieccy historycy próbowali przekonać o germańskości ziem polskich. Działania przeciwne, tym razem ze strony rodzimych badaczy, prowadzono zaś po odzyskaniu niepodległości, a zwłaszcza po II wojnie światowej (powrót na prastare ziemie piastowskie). Szczytem propagandy w tej dziedzinie były zaś lata 60, kiedy to z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego na siłę próbowano każde nowe odkrycie archeologiczne komentować na korzyść teorii jedynie prasłowiańskości tych ziem. A tak naprawdę Europa to jeden wielki garnek bigosu, do którego wrzucono ogromną ilość najprzeróżniejszych składników, pojedynczo wydających się mało istotnymi, ale bez nich ostateczny smak potrawy pozostawiałby wiele do życzenia. Jak w życiu jednostek nietrudno o domieszkę obcej rasowo krwi (o czym wiedzą liczne Niemki, które nie ustrzegły się jurnych czerwonoarmistów w 1945 r.), tak współczesne narody są również takimi kociołkami pełnymi bigosu bulgoczącego na fajerkach kuchni świata. Podnieśmy pokrywkę naszego garnka.

Około 7,5 tys. lat temu pojawili się na polskich obecnie terenach pierwsi w dziejach rolnicy. Przyszli nie wiadomo skąd, zbudowali swe ogromne,

drewniane domostwa i już pozostali. Archeolodzy zachwycają się odkopując pozostawione przez nich resztki krzemiennych narzędzi. W czasie, gdy w Egipcie trwał okres tzw. Starego Państwa, a rządy sprawowała piąta dynastia memficka, na terenach dzisiejszej Polski obok rolników pojawiają się hodowcy i pasterze, którzy przywędrowali z okolic Dniepru, lecz również nie byli jeszcze Słowianami. Pozostały po nich liczne kurhany ziemne, których istnienie zawsze rodzi we mnie przekonanie o marności naszych współczesnych nekropolii. Następnie, gdy na Bliskim Wschodzie rozgrywały się wydarzenia, które miały dać początek epoce chrześcijaństwa, u ujścia Wisły lądowały łodzie skandynawskich Gotów i Gepidów. Wkrótce pociągnęli oni dalej na południe, ku wybrzeżom Morza Czarnego, nie można jednak wątpić w to, że tu, nad Wisłą, pozostawili jednak część siebie. To właśnie zlepek ich kultury oraz starszej, Wenedów i Rugiów, dał początek kulturze wielbarskiej z I-III w. n. e.

Słowianie pojawili się między Bugiem a Odrą dopiero na przełomie V i VI w., co wiązało się z przemieszczeniami ludów po najeździe straszliwych Hunów. Jednocześnie nadmienić trzeba, że i sami oni byli niejednorodną wieloplemienną i wielokulturową masą, która - zanim wyodrębniły się z niej zachodniosłowiańskie plemiona Wiślan, Opolan, Mazowszan etc. - uległa trwałemu zmutowaniu dzięki asymilacji kultury Bałtów, Germanów, Waregów i Celtów.



W gruncie rzeczy nie wiemy kim byli bezpośredni przodkowie Mieszka I, ba, nie wiemy kim był on sam. Jak na pierwszego historycznego władcę chrześcijańskiego państwa to bardzo skromnie. Czy więc nie przekłamują dziejów nauczyciele historii, którzy przypisują Mieszkowi miejscowe, polarskie pochodzenie? O Polanach nie wspomina zresztą Geograf Bawarski, który w IX w. szczegółowo wymienił wszystkie inne plemiona zamieszkujące dzisiejsze ziemie polskie. Drużyna Mieszka I składała się głównie z Normanów, może więc był nim i on sam. To tłumaczyłoby jego dziwne imię - Dago, wymieniane w pierwszym polskim dokumencie, którym jest list do papieża (Dagome iudex). Mogli Wikingowie dać początek Rusi, mogli i Polsce. Historycy tego nie wykluczają.

Słowiański patriotyzm zniechęca do tej teorii, ale nie przybliży nas do prawdy. Może właśnie dlatego dzieci na lekcji historii nie dowiadują się w jak wielkim stopniu kontakty gospodarcze Mieszka z innymi, dalekimi nawet, krainami oparte były na handlu niewolnikami. Zarazem jednak, dzięki tym kontaktom przybył do nas Żyd z hiszpańskiej Kordoby Ibrahim ibn-Jakub, którego relacje z podróży są dziś najlepszym świadectwem o państwie Mieszka i życiu jego mieszkańców.

Czy zatem możemy ciągle uważać się za Słowian? Teoretycznie, zgodnie z prawem tradycji, tak, praktycznie zaś jedynie za część w kotle pełnym środkowoeuropejskiego bigosu. Na marginesie zaś dodam, że najbardziej słowiański duch zdaje się iść dziś do nas z Zachodu. Widzę to, gdy wpada mi do ręki któreś ze współczesnych pism tzw. kobiety wyzwolonej, z moim faworytem "Cosmopolitan" na czele. Równie dobrze po ich lekturze ibn-Jakub mógłby charakteryzować Słowian następująco: „[...] Panna, kiedy pokocha jakiego mężczyznę, udaje się do niego i zaspokaja u niego swoją żądzę. A kiedy małżonek poślubi [dziewczynę] i znajduje ją dziewicą, mówi do niej: »gdyby było w tobie coś dobrego, byłiby cię pożąдали mężczyźni i z pewnością byłabyś sobie wybrała kogoś, kto by wziął twoje dziewictwo«”.

Oto powrót do źródeł. Trzymam kciuki za coraz więcej słowiańskich patriotek. Słowiańska duszo, trwaj!

lutny 2000

Boże broń przed inteligencją!

Szkota nie można było nazwać typowym, bo nie dość, że nazywał się Alan Wyper, a nie - dajmy na to - MacMahon, to w dodatku z własnej nieprzymuszonej woli postawił mi (!!!) piwo i pierwszy „wysiadł” podczas krótkiej wędrowki po, niewysokim przecież, Beskidzie Żywieckim. O czym Polak może rozmawiać ze Szkotem w knajpcie hotelu „Muflon” w Ustroniu? Spytałem czy oglądał „Braveheart” Mela Gibsona, a on na to, że to amerykańska chała. Ok., amerykańska chała, ale jaka patriotyczna! Ciągnąłem go więc dalej za język i zapytałem co sądzi o opuszczeniu przez Szkocję Korony Brytyjskiej. Odparł, że to mrzonki niepoprawnych fantastów i patriotów, dla których idea więcej jest warta od wygodnego życia z kieszeniami pełnymi funtów. W jego ustach zabrzmiało to jak obelga. Odeszła mnie ochota do dalszych pogawędek, pogrążyłem się w głębokiej zadumie. Zrozumiałem, jak odmiennie odbierają słowo patriotyzm różne ugrupowania polityczne (Alan był przedstawicielem i wysłannikiem brytyjskiej Labour Party). W Polsce wycierają sobie nim usta wszystkie partie od prawa do lewa, poprzez libertyńskie centrum, ale tak naprawdę dla większości postawa ta obliczona jest li tylko na zwrócenie uwagi wyborczej czerni. Bo czerń jest jeszcze patriotyczna, czego nie można powiedzieć o tzw. elitach wyrosłych ze szczytów nieboszczki partii bądź o klasie zachłyśniętej lewicowymi (dziś zwie się to socjaldemokracją) ideałami pseudo-wolności, równości i braterstwa. Dlatego nie martwię się o Szkotów, na rzecz których na arenie światowej działają tak znane osoby jak Sean Connery czy Rod Stewart. Martwię się o patriotyzm Polaków.

Rozmawiam z kolegą - studentem, „człowiekiem rokującym” i w ogóle, choć trochę zmanierowanym, o tym i o owym, zwłaszcza o faszerowaniu nas poprawnością polityczną. I wtedy słyszę, że powinniśmy np. wszystkich Murzynów „całować w piętę” (stwierdzenie oryginalne), za to, że tak bardzo byli niegdyś krzywdzeni. Ja jednak nie czuję się ani trochę winny i nie widzę powodu aby państwo nasze miało jakiegokolwiek długi do spłacenia pod tym względem i powody do moralnego kaca. Kolega miły na to, że słowo państwo nic dla niego nie znaczy, bo wszyscy jesteśmy braćmi, a na naród, narodowe barwy i Białego Orła to ... (tu padło brzydkie raczej słowo określające proces wypróżniania się). Uff! Patrzę dziś na człowieka innymi oczami.

Czyż jednak nie przypomina to czegoś? Poczułem się jak w deja vu. Nie dalej jak 50 lat temu przedstawiciel zdyskredytowanego dziś systemu nie wahał

się wołać na forum publicznym, że jedyną ojczyzną Polaka winna być ojczyzna proletariatu. Tak jak dla laburzysty Alana Wypera Szkocja to tylko kraina za Northumberlandem, tak dla mojego znajomego Polska jest euroregionem na wschód od Brandenburgii i Saksonii. Wszyscyśmy zaś Europejczycy. Po raz pierwszy zastanowiłem się czy to przypadkiem nie jest dobrze, że Wojsko Polskie przedstawia dziś tak niski poziom intelektualny. Broń nas, Boże, przed inteligencją, jeśli ma być tak internacjonalistyczna.

Potrzeba nam odrodzenia narodowego, nowego spojrzenia na Rzeczpospolitą (jak rzadko wymienia się obecnie to miano), na siebie. Na to kim jesteśmy i kim mamy być. Potrzeba nam narodowej edukacji, państwowego interwencjonizmu w dziedzinie utrwalania patriotyzmu i miłości do ojczyzny. Narodowość dziś bowiem to pojęcie niemal wirtualne. Nie jest już właściwie stanem fizycznym, ale stanem ducha i samoświadomości. Dzisiaj to czy jesteś Niemcem, Żydem, Francuzem czy Polakiem zależy od twego umysłu i serca. Idąc ulicą rodzinnego miasta zastanawiam się ile z mijanych osób to jeszcze Polacy, a ile już tylko Europejczykami z globalnej wioski z etykietą amerykańskiego Nowego Wspaniałego Świata.

marzec 2000

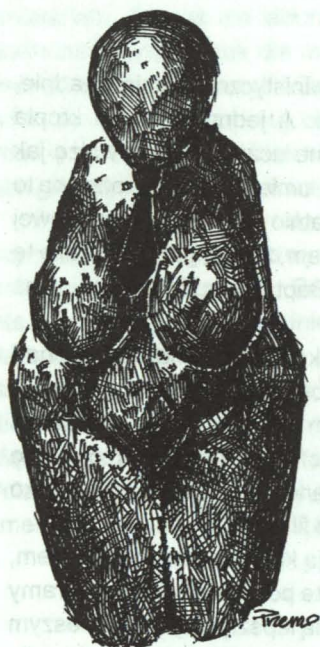
Wojna światów

Zaraz, jak to się teraz nazywa? „Męska szowinistyczna świnka”. Ładnie, spokojnie mogę spojrzeć w oczy swemu synowi. A jednak to tylko kropla satysfakcji w morzu beznadziejności. Trudno o inne uczucia, kiedy widzę jak nasz świat, kiedy oparty na tak prostych zasadach, umiera i nic nie można na to poradzić. Nasza nisza ekologiczna stała się ostatnio areną bezpardonowej walki o absolutną dominację. Muszę przyznać z żalem, że mój gatunek walkę tę już przegrał. Wołam więc z ekspresją Jana Baptysty: „Nadchodzi czas matriarchatu!”

W gruncie rzeczy kobiety to odmienny gatunek. Gdy zastanawiam się nad tym przypominam sobie film SF pt. „Gatunek”. Kosmiczna samica w ludzkiej powłoce poszukuje idealnego partnera w celach prokreacji. To nie żadne science fiction, popatrzmy na banki spermy z fotoofertami ofiarodawców, albo na przykład takiej, powiedzmy, Madonny (piosenkarki, rzecz jasna), która jako żywo powtórzyła w praktyce wyczyn bohaterki tego filmu.

Tkwią w nas bowiem instynkty, które przejmują kontrolę nad organizmem, gdy rozumu nie staje. Wówczas to one sprawiają, że podświadomie wybieramy partnera posiadającego takie cechy, które zapewnią lepszą przyszłość naszym genom (dzieciom). Wszyscy jesteście cywilizowanymi zwierzętami, ale o ile instynkt mężczyzny ogranicza się do pragnienia obdarowania własnym życiodajnym nasieniem wszystkich samic, z którymi przychodzi im się stykać (podświadome parcie do zapewnienia ciągłości gatunku), instynkt kobiet to zimna kalkulacja pomiędzy wyborem supersamca i superopiekuna (zapewnienie bytu jej i potomstwu). W wielu przypadkach są to dwie różne osoby.

Świat mężczyzn funkcjonował tylko dzięki wewnętrznemu rygorowi, który możliwy był przy całkowitym zjednoczeniu jego męskich przedstawicieli. Ale to runęło wraz z innymi wartościami, które świat ów ze sobą niósł (przyjaźń, honor, rodzina itp.). Mężczyźni padli ofiarą własnej łatwości i tolerancji, z natury swej są bowiem istotami niestałymi, a przez to słabymi, łatwo ustępującymi pola silniejszej rasie. Demokratyzacja życia społecznego i dopuszczenie kobiet do pracy i spotkań towarzyskich w kręgu typowo dotąd męskim zakłóciło dotychczasowy porządek rzeczy, tak jak paczkę koleżeńską rozbija wprowadzenie doń dziewczyny. Razem z nią przychodzi bowiem rywalizacja i walka. Obserwujemy ostatnio pojawienie się szajek przestępczych, w których



role przywódcze odgrywają młode kobiety. Zwyciężają więc nawet tam. Psycholog społeczny wyjaśnia, że kobiety „funkcjonują w grupie podobnie jak samice w stadzie podczas rui. Ich obecność oszałamia rywalizujących mężczyzn” (I. Maślińska, Czarny portret, „Tygodnik Powszechny”, nr 35/1999). Ich działania są wówczas nastawione na wyjście naprzeciw oczekiwaniom kobiet, jest bowiem coś, co zawsze sprawi, że w gronie mężczyzn to właśnie ona osiągnie rolę przywódczą. Tą rzeczą jest nagroda najatrakcyjniejsza ze wszystkich obietnica seksu, znalezienie się w kręgu jego aury. Znowu więc natura. Przeciwno mężczyznom działa święcąca tryumfy polityczna poprawność. Kobiety to jeszcze jedna (obok Żydów, Murzynów, homoseksualistów etc.) warstwa, która, mszcząc się za niedawne (prawdziwe i urojone) krzywdy, stała się najbardziej szowinistyczną i nietolerancyjną, a pod sztandarem feminizmu dąży do zdominowania planety. Mężczyźni znajdują się w ciągłym odwrocie, są oskarżani o jakieś bzdury, przy czym działania stanowiące wyjątki stają się powodem do tworzenia reguł przeciwko nim (niedawny szal z molestowaniem seksualnym). Coraz mniej mamy popleczników w gronie samej płci przeciwnej (babcie wszak wymierają), która nie może oprzeć się fali propagandy płynącej z tysięcy odmóżdżających czasopism kobiecych (o telewizji nie wspominając). Poza tym w naszym własnym gronie rośnie w siłę kobieca V kolumna w postaci nastawionych antymęsko gejów (ciekawe, że lesbijki również nastawione są antymęsko). Na naszych oczach (i oczach naszych dzieci, a to, nie chcę krakać, niekorzystnie wpłynąć może na ich psychikę) dokonuje się rewolucja. Tylko patrzeć początku wielkiego terroru. Typowe cechy męskie, umiejętności, a przez to jakakolwiek przydatność w dzisiejszym świecie, stały się niepotrzebne. Gdy każda czynność, z walką włącznie, jest możliwa do wykonania przy pomocy pilota, zawsze lepiej będzie na nim wyglądała zgrabna kobieca dłoń z paznokciami wprost po manicure, niż toporna męska ręka. W końcu pozostaniemy tylko

trutniami do rozplodu, które później, jak zbędne śmieci, wyrzuca się z ular na pewną śmierć.

Dlatego, choć wiem, że skazany jestem na rezerwat, gdzie razem z innymi, jak rdzenni Amerykanie, będę trawił czas na wegetacji na granicy alkoholowej półświadomości (nie mam bowiem nadziei na załapanie się do współczesnego haremu Wielkiej Macierzy), postanowiłem jednak drogo sprzedać swoją wolność. Nie będę trawestował znanego skądinąd hasła, krzycząc dziko: „Mężczyźni wszystkich krajów, łączcie się!”, bo brzmi to odwrótnie niż wymagałaby tego nasza sprawa, ale warto wzmóc czujność. Nie dajmy się! Curie-Skłodowska była wszak mężczyzną.

marzec 2000

Rycząca pięćdziesiątka

Po 10 latach spędzonych w gabinetach odnowy biologicznej propaganda wraca w glorii i chwale. Staruszka odzyskała wigor, wygląd zewnętrzny (na oko, po wizytach u hollywoodzkich chirurgów, rycząca pięćdziesiątka) i pełnię sprawności intelektualnej, a zasobom swego doświadczenia zawdzięcza niesamowity seksapil, który, niczym syreni śpiew, uwodzi wszystkich dookoła. Propagandowe tuby, nawet te niby-publiczne, choć zdominowane przez partyjnych wyrobników, nieprzerwanie tłoczą nam do głów doskonale spreparowaną i łatwo zjadliwą, niczym danie z MacDonald'sa, sieczkę, dość smaczną choć zupełnie pozbawioną witamin i na dłuższą metę szkodliwą. Ale co tam, skoro tą samą papką karmieni są niemal wszyscy. W świecie imbecyli nienormalnym jest człowiek sprawny umysłowo.

Mam przed sobą tekst, który aż odrzuca od swądu tanich perfum odziedziczonych po niesławnym Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Witold Repetowicz w „Krwinkowych legendach” („Polska & Unia” z 21.02.2000 r.) z zimną krwią rozprawia się z tabunem nieudolnych historyków oraz milionami ciemnych Polaków, którzy nie dorosli do poziomu autora i wyzwali dnia dzisiejszego. Skoro „aspirujemy” i być może wkrótce „przystąpimy”, zdaniem autora radykalnie zmienić należy dotychczasowe zaopatrywania społeczeństwa na stosunki Polski z sąsiadami. Sprawnie operuje słowami, jak z rękawa wyjmuje argumenty i tasując historię naszego państwa strzela nimi do czytelników niczym ze słynnego izraelskiego peemu. W ten sposób dowiadujemy się, że żadnego niemieckiego „Drang nach Osten” to nigdy nie było, a przekonanie o germańskim parciu na wschód oparte jest na słabej wiedzy o niemieckiej kolonizacji, która wynikała li tylko z naturalnej, pokojowej migracji. Tak, tak, dobrze Państwo czytacie, zdaniem Herr Repetowicza „nie było niemieckiego podboju Śląska ani Pomorza Zachodniego, a Krzyżaków sprowadziliśmy sami. [...] Polska prowadziła wiele wojen, ale wojny polsko-niemieckie w naszych wspólnych dziejach należały do rzadkości”. Tym samym rozeurozentuzjzmowany autor przekreśla wojny Mieszka I z margrabią Marchii Wschodniej, Wichmanem i Hodonem, Bolesława Chrobrego z cesarzem Henrykiem II, Piastów i Jagiellonów z Brandenburgią, Krzyżakami, a potem z Elektorem Pruskim, rozbiory, Bismarcka, Hakatę, dzieci wrześni, powstanie wielkopolskie, wrzesień 1939, gestapo, łapanki, obozy koncentracyjne, roboty przymusowe. W zamian,

gorycz zmiany poglądów osładza nam przypomnieniem pochodzenia Wita Stwosza, mariażów polskich władców z niemieckimi księżniczkami i romantycznej (choć nie do końca potwierdzonej) miłości królowej Jadwigi do Fryderyka Hohenzollerna. Cała antyniemieckość Polaków jest, zdaniem Repetowicza, wymysłem podłych XIX-wiecznych historyków, którzy odważyli się definiować coś, czego nie ma naród. Píše wręcz: „Można mieć nawet wątpliwości, czy naród jest w ogóle bytem organicznym czy też bytem idealnym, jedynie wyposażonym w substrat organiczny”. Spogląda na Rzeczpospolitą z perspektywy (a jakże) Europy Zachodniej i widzi, że tereny polskie „były ziemią niczyją, zamieszkałą przez niecywilizowanych pogan”. Jak można było więc nie wyciągnąć po nie ręki? Możemy się domyślać, że taką dziką i nie objętą wzorową *deutsche Wirtschaft* ziemią niczyją wydawała się Niemcom Polska również w latach trzydziestych. Co więcej, jest taka dla nich zapewne i teraz, choć sytuacja geopolityczna naszego kraju wydaje się z goła inna. Geopolityka ma jednak to do siebie, że zmienia się z dnia na dzień. Nie na darmo w okrytym nimbem afery raporcie Urzędu Ochrony Państwa, nt. zagrożeń RP w 1999 r., wymienia się struktury afiliowane przez niemieckie organizacje ziomkowskie, a zwłaszcza „ofensywę propagandową na rzecz autonomii Śląska (realizowaną także przy zaangażowaniu niektórych środowisk mniejszości niemieckiej i aktywistów Ruchu Autonomii Śląska)”.
Dariusz Magier

Witold Repetowicz wie lepiej. „Nasz odwieczny wróg nie był nigdy naszym odwiecznym wrogiem” ogłasza gromko, tak jakby był jednym ze wspomnianych wyżej aktywistów. Zastanawiam tylko się, czy miałby śmiałość stanąć przed tysiącami żyjących jeszcze ofiar III Rzeszy, i powtórzyć swoje teorie o odwiecznym braterstwie Polaków i Niemców (bo zakładam, że staruszkowie ci nie czytają dwutygodnika „Polska & Europa”). I mam wątpliwości.

maj 2000

Problem Kondrata

Wybrałem się na film „Prawo ojca” Marka Kondrata, o którym było ostatnio głośno (nie tyle na Ukrainie, ile w prasie, np. dwa artykuły w babskiej gazecie mojej żony). Wiem już dlaczego. Nie, nie dlatego, żeby wnosił coś do historii kinematografii, jak to pięknie ujął Olaf Lubaszenko na niedawnym spotkaniu w radzyńskiej Oranżerii. Wszystko to, co można było w nim zobaczyć, już gdzieś kiedyś widzieliśmy, ale dlatego, że był to obraz z kategorii zaangażowanych. Jak w „Trójkowej” „Powtórce z rozrywki” możemy usłyszeć czasem tzw. piosenki z tekstem, tak film Kondrata zawiera ideę, która ma za zadanie zwrócić uwagę na jakiś poważny problem drążący nasze społeczeństwo. Tym samym możemy umieścić go w rzędzie takich tytułów jak: „Brudny Harry”, „System” czy choćby nasz „Tato”.

Tematycznie zbliżony jest oczywiście do „Brudnego Harry'ego”, a to z racji podejmowania problemu walki z przestępczością. W obu krytykowane jest prawo, ale, o ile w amerykańskiej produkcji mogliśmy obserwować bezsilność Temidy z punktu widzenia policji, o tyle w „Prawie ojca” głównym bohaterem była ofiara przestępstwa. Obejrzelśmy więc obraz współczesnej polskiej rzeczywistości, nieco przejaskrawiony, tak jak to być powinno w kinie, chociaż nie za bardzo. A to bezkarny świat przestępczy, a to prawnicy zagonieni w ślepy zaułek nie przystających do życia zwykłych ludzi paragrafów, a to obojętność świadków na krzywdę ludzi obok, a to korupcja i bezsilność policji, która próbuje pogodzić oczekiwania społeczne i odgórny wymóg humanizacji działania. Efektem tego kolażu jest nasza rzeczywistość, w której króluje niemoc organów ścigania, popularność zyskują mafiozi, a wymiar sprawiedliwości staje się obiektem naigrywań. Bo czy można zyskać sympatię, jeśli poważniej traktuje się tylko sprawy groźniejsze od napadu z bronią. Tak zwana mała szkodliwość społeczna jest rakiem drążącym polskie prawo. Czy kradzież radia, roweru, telefonu nic już nie znaczy? Jeśli nauczymy przestępców, że tak jest, wkrótce wejdą nam na głowy.

Coś niedobrego stało z naszym poczuciem sprawiedliwości. Skąd mamy, np., tę niechęć do policji, która jest coraz powszechniejsza? Czyżby oznaczało to, że świat przestępczy obejmuje coraz szersze kręgi społeczeństwa? Bo kimże jest człowiek, który zapamiętałe gryzmoli sprayem na ścianie „Pier... policję!”, jeśli nie przestępcą lub dobrym nań materiałem? Widok radiowozu czy patrolu w nocy na pustej ulicy uspokaja mnie. Jeśli kogoś denerwuje lub straszy,

oznacza to, że człowiek ten nie ma czystego sumienia. Jest przestępcą.

Zawód sędziego, prokuratora czy stróża prawa jest profesją specyficzną. Łatwo stracić doń zaufanie. Byłem niedawno świadkiem przysięgającej sceny. Do lokalu wtargnęła grupa miejscowych zabijaków i zrobiła rejdach. Policja (o dziwo!) przybyła w osobach dwóch funkcjonariuszy, którzy (znowu o dziwo!) czule przywitali się z napastnikami i po kilkunastu minutach negocjacji skłonili łobuzów do wyjścia na zewnątrz. Żenada! Stróż prawa musi wzbudzać szacunek. Negocjować można z terrorystami porywającymi samolot, a nie z kilkoma gnojami w dresach. Zwykły, praworządny obywatel musi wiedzieć, że w wypadku zetknięcia się ze światem przestępczym będzie podmiotem dla działań policji. Nawet w takiej oazie spokoju, jaką, wedle słów pani komendant radzyńskiej policji, jest nasze miasto.

Wydaje mi się, że właśnie to wyrazić chciał Marek Kondrat wypominając filmowym gliniarzom, że nigdy ich nie ma, gdy są potrzebni. „Brudny Harry” spełnił swoje zadanie w USA. Amerykańska policja słynie z pewności interwencji, profesjonalizmu i zaangażowania w życie społeczne, a system prawny ciągle dostosowuje się do aktualnych potrzeb obywateli, czego doskonałym przykładem może być obraz Nowego Jorku - kiedyś stolicy przestępczości, dziś jednego z najbezpieczniejszych miast Stanów Zjednoczonych. Czy „Prawo ojca” zwróci uwagę decydentów na problem bezsilności organów ścigania w walce z bezprawiem w Polsce i na osamotnienie ofiar bandytyzmu? Zobaczymy, jeśli uda się dotrzeć.

maj 2000



Jubileusz

„Gdzie oni są?!
Gdzie wszyscy moi przyjaciele?
Zabrakło ich,
Choć zawsze było ich niewielu.
Schowali się
Po różnych mrocznych instytucjach,
Pożarła ich
Galopująca prostytutka”.

Republika

Czas, jak to czas, toczy się raz wolniej, raz szybciej, ale zawsze nieuchronnie do przodu. Ranek, południe, wieczór, noc, ranek, południe, wieczór, noc, ranek, południe, wieczór, noc, ranek... Jak w opowiadaniu Kira Bułyczowa „Nie drażnić Czarownika”: co rano „plusk - plusk jaja na patelnię. Pszczyk - tukpszczyk nożem po chlebie. Bul - bul - bul mleko z butelki, uuu uuuu -iii zagotowała się woda w czajniku”.

Ale któregoś dnia rozmawiając z kolegą wpadliśmy na to, że oto mija dziesięć lat od naszej matury. Dziesięć krótkich, jak z bicia strzelił, lat, choć przy goleniu wlepia we mnie gały facet ni w ząb niepodobny do tego, którego noszę na zdjęciu w dowodzie osobistym. Chwila rozmowy, trochę namysłu (niewiele) i pomysł: trzeba to uczcić. Jak pomyśleli tak zrobili. Program: Msza święta, chwila w klasie i biba.

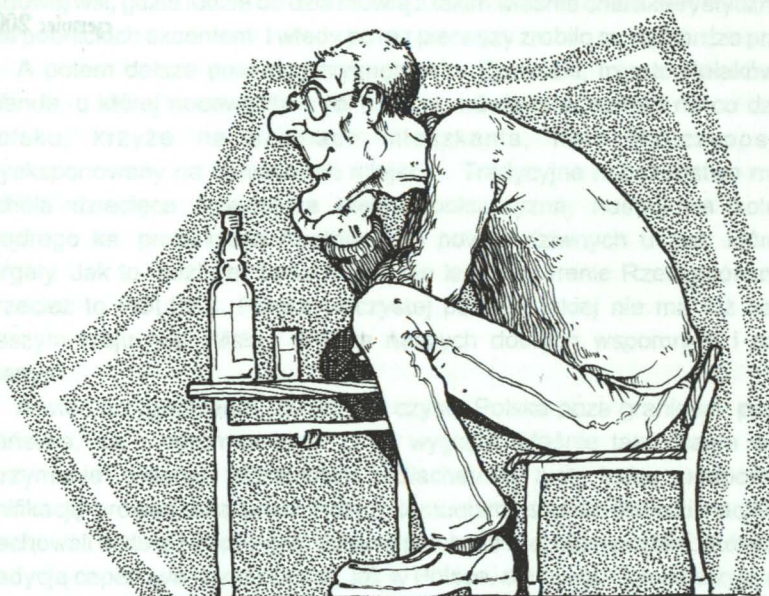
W kościele moment zwątpienia, garstka dziesięciu osób (łącznie z celebrazem, naszym kolegą szkolnym) ginie w przestrzeni świątyni. Ale jest dobrze. Ksiądz mówi krótko, ale treściwie, o naszym spotkaniu, o tym, że nie byliśmy ani najlepszymi uczniami, ani najgrzeczniejszymi licealistami, ani klasą zgraną, ani obdarzoną jakimiś wielkimi indywidualnościami, a jednak to my potrafiliśmy uczcić dziesięć minionych lat powracając na „miejsce zbrodni”. Wspólnie dziękujemy za to co było, i prosimy o jeszcze.

Potem jest już lepiej. Nieco. W sumie zbiera się nas 14 osób, co stanowi niemal 50 proc. wszystkich tych, którzy w 1990 roku kończyli czwartą klasę. Jak na pierwszą próbę nieźle.

Refleksje? Po pierwsze, dziwne jak łatwo odnajdujemy tkwiące gdzieś w pamięci charakterologiczne sylwetki tych ludzi, choćby wizualnie zmienili się nie do poznania. Po drugie, mamy jednak ze sobą wspólny język, może więcej

możemy sobie powiedzieć niż w szkole. Lektura dziennika lekcyjnego daje również wiele do myślenia. Ciąg suchych stopni nie oddaje dziś tragizmu sytuacji sprzed lat. Nawet strona z ocenami z fizyki, z którą miałem nieziemskie problemy, nie robi dziś wrażenia. To jednak nie przypadek, że człowiek pobiera naukę w młodości, gdy jest nieukształtowany, jeszcze się boi, a nauczyciele posiadają dlań odrobinę autorytetu. Gdyby cofnąć się w czasie ze współczesnym poziomem wiedzy, życiowych doświadczeń i poczuciem (nieraz wyolbrzymionym) własnej wartości, żadne z nas nie skończyłoby tego etapu edukacji. I słusznie, na wszystko jest miejsce i pora, dlatego dziesięć lat temu jeździliśmy na wycieczki z wychowawczynią, a dziś spotykamy się przy flaszcze, by pogadać o chorym świecie czy niezrozumieniu ze strony naszych żon. No, chyba że spotykamy się z dawnymi koleżankami, czego cele mogą być różne, a skutki nieoczekiwane...

Obserwujemy siebie, mimowolnie porównujemy nasze egzystencje. Byliśmy nijacy i bardziej lub mniej szarzy pozostaliśmy, nie bardziej jednak niż nasz Radzyń, nasza Lubelszczyzna, nasza Polska i nasz świat. I nie bardziej niż ci, którzy wiedząc o spotkaniu wyłgali się niemożnością, wyjazdem, dziećmi, pracą czy czymkolwiek innym. Im nie pomoże już nic, zostali



Premo

wprzęgnięci w trybiki świata, który toczy się kosztem ich życia. Są wykorzystywani, ale o tym nie wiedzą, a wręcz przeciwnie, uważają, że to oni korzystają. Wyrazy współczucia.

Potem przystawki, alkohol, muzyka, atmosfera z wolna rozluźnia się do poziomu, który gwarantuje dobrą zabawę. I rozmowy. A są przedziwne, jak to wśród ludzi, którzy mają sobie dużo do powiedzenia, bo rozmawiają bardzo rzadko. Oto heretyk rozprawia z zakonnicą o wierze, a ateista z księdzem dobrodziejem o moralności, pielęgniarki o polityce, nauczycielki o mężach, niedysyjsi uczestnicy kółka historycznego białdą o ginącej Polsce, dawniej sobą zauroczeni tańczą i rozprawiają o tym, dlaczego byli tak głupi, że nie zawierzili pierwszym uczuciom. Woda ognista otwiera serca i rozwija języki. I jest bardzo dobrze, do tego stopnia, że obiecują sobie powtórzenie tego już za 5 lat. Na koniec notujemy adresy i telefony, obiecujemy sobie wspólne wypady, grille, piwka, ale nadaremnie, bo kiedy już się rozejdziemy, a poranny kac minie, znowu wrócimy do naszych szarych domów, szarych posad, prozy życia, starych (choć nowszych) towarzyszy niedoli, a jedyne co będzie nam towarzyszyć to przekłete: plusk-plusk jaja na patelnię, pszczyk-tukpszyk nożem po chlebie, bul-bul-bul mleko z butelki i uuu-uuuu-iii woda w czajniku.

czerwiec 2000

Kartka z Ejszyszek

Wizyta na Litwie przynębiła mnie. Ejszyszki to 4-tysięczne miasteczko w rejonie sołecznickim, słynącym z największego stężenia Polaków w obecnym państwie litewskim. Stanowią tam oni niemal 80 proc. ogółu ludności. W samych Ejszyszkach istnieje polska szkoła z ponad 600 uczniami, polska parafia rzymsko-katolicka z polskim księdzem proboszczem i litewskim, choć dobrze mówiącym po polsku, wikariuszem. Już sam dojazd do miasteczka mógł wzbudzić refleksje. Jadąc dobrze z reguły oznaczonymi trasami (i lepszymi niż nasze drogami!) zrobiliśmy o jeden skręt za dużo i nagle wpadliśmy w sieć bocznych dróg, które doprowadziły nas do nieoznaczonej na mapie osady z pięknym barokowym kościółkiem. Przed świątynią pustką zionął wybrukowany plac, na którego przeciwległym krańcu tkwił stary, chyłący się ku ziemi słup przystanku autobusowego. Siedziała pod nim stareńka babuleńka i patrzyła na nas wzrokiem, który pamiętał zapewne wybuch niepodległości tych ziem w 1918 r. Spytaliśmy o drogę, a staruszka uśmiechnęła się i odpowiedziała śpiewną polszczyzną ludzi wschodniego pogranicza. Jak w kraju! Jak w mojej rodowej wsi, gdzie ludzie do dziś mówią z takim właśnie charakterystycznym dla wsi pounickich akcentem. I wtedy po raz pierwszy zrobiło mi się bardzo przykro.

A potem dalsze powody przynębienia: Ejszyszki, miasto Polaków. Pani Wanda, u której nocowaliśmy, jej rodzina mówiąca w domu i na co dzień po polsku, krzyże na ścianach mieszkania, herb Rzeczypospolitej wyeksponowany na honorowym miejscu. Tradycyjne nabożeństwo majowe, schola dziecięca śpiewająca piękną polszczyzną, nastrojowa kolacja u mądrego ks. proboszcza Anatola. Oto powód dziwnych uczuć, które mną targaly. Jak to możliwe, że ta kraina nie leży na terenie Rzeczypospolitej. A przecież to POLSKA. Polska w czystej postaci, jakiej nie ma już nawet w naszym kraju nad Wisłą. Polska naszych dobrych wspomnień i naszych marzeń.

A więc przynębienie, że oto jest czysta Polska poza granicami polskiego państwa, ale i ogromna ulga, iż to wygląda właśnie tak. Ciągła walka o utrzymanie własnej tożsamości uszlachetniła tych ludzi, uodporniła na unifikację prowadzoną przez Rosję, komunizm, a teraz litewski nacjonalizm. Zachowali kulturę i tradycyjną, zdrową polskość w czystej postaci, która nie jest tradycją cepeliową, wymierającą, jak w Polsce, ale żywą. Ci ludzie żyją według jej reguł i trwają.

A potem Wilno! Niedzielne przedpołudnie, a więc odgłosy polskich nabożeństw dochodzące na ulice z licznych kościołów, rozmodlony lud u stóp Pani z Ostrej Bramy, sprzedawcy dewocjonaliów stosujący w handlu zamiennie litewski lit i polski złoty (stosunek 1:1). Polacy, Litwini, trochę Rosjan, wokół duch polskich Kresów, duch Mickiewicza (atmosfery nie psuje nawet napis "Adomas Mickievicius" na jego pomniku), Sienkiewicza, duch pogranicza. Tłum tradycyjnych dziadów prośalnych (nie mylić z tzw. "rumunami") i znowu polska Msza Święta, rzesze wiernych, dziewczynki w białych komunijnych sukienkach i obraz „Jezu, ufam Tobie”, przed którym w latach trzydziestych modliła się siostra Faustyna Kowalska. „To ksiądz z naszej ejszyszkiej parafii” szepcze mi na ucho Pani Wanda, a w jej głosie słychać dumę. I we mnie rośnie duma, że - podobnie jak oni - jestem Polakiem, że należę do tej rodziny, której drzewem genealogicznym jest stary cmentarz na Rosie.

A jednak pozostaje obawa czy zdołają uchować się przed globalizacją, kulturą masową, neopogańską kulturą zachodnioeuropejskiego stylu życia? Czy tęsknota do lepszych warunków ekonomicznych nie zabije w nich (jak to się stało w Polsce) zdrowych zasad moralnych, gdy kryzys minie? Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie. Dopóki zaś będą istnieli, mogą stanowić dla nas tę siłę, która zachowuje w bezpiecznym miejscu iskrę polskości, zarzewie Nowej Polski, kraju zdrowego narodu.

Pojechaliśmy wybadać sens pomocy Polakom na Litwie i sens ten łatwo odnaleźliśmy, choć z powodów zupełnie innych niż początkowo założone. Tym ludziom musimy pomagać dla naszego własnego dobra.

czerwiec 2000

Wszyscy jesteśmy historykami!

Każdy człowiek w mniejszym lub większym stopniu zastanawia się nad przeszłością, a abstrahując od najprostszej definicji, która starania prowadzące do jak najdoskonalszego jej odzwierciedlenia nazywa historią, oznaczałoby to, że świat zaludniony jest przeważnie oblubieńcami Klio, nie licząc Chińczyków, masonów, cyklistów i... wiadomo.

„Nie wiedzieć co się przed naszym urodzeniem działo, jest to być zawsze dziecięciem” - pisał Cyceeron i chociaż dziełek takich wciąż jeszcze mamy na świecie dosyć, by zapłacić nimi armadę galer pod abnegacką banderą, rzesza historyków - amatorów mogłaby im chyba stawić czoła. Nowo uświadomionym w ten sposób historykom przypomnę, że słowo historia wywodzi się z języka greckiego, w którym oznaczało wiedzę, badanie. W starożytności określano tym mianem opisywanie współczesności, w odróżnieniu od opisu przeszłości annales. Znaczenie terminu "historia" ewoluowało stopniowo. W średniowieczu oznaczała biografistykę i dziejopisarstwo, którego głównym celem, zgodnie z duchem epoki, było dostarczanie pozytywnych przykładów postępowania. Jako nauka historia usamodzielniała się w okresie oświecenia i od tej pory każda kolejna epoka przynosiła nowe spojrzenie na jej rolę, zadania i metody pracy.

Materiałem pracy badaczy przeszłości są źródła historyczne. Większość ludzi w ciągu swego życia świadomie styka się i ma do swej dyspozycji jedno główne źródło historyczne - pamięć dnia wczorajszego, przy pomocy którego stara się ułożyć w głowie obraz przeszłości oraz wynikającej z niej teraźniejszości. I właśnie owo „układanie” stanowi sedno, od którego zależy poziom uzyskanych wyników. Niestety, najczęściej efekt końcowy odpowiada jedynie światopoglądowi (także w historii trudno się od tego uwolnić) ich autora. W efekcie prowadzi to do tego, że każdy z nas inaczej odbiera wydarzenie, którego wszyscy byliśmy przecież świadkami.

A pamięć to nie jedyne i bynajmniej nie najważniejsze źródło historyczne, nawet przy badaniu przeszłości najnowszej. Spotykamy się często z zarzutem, szafowanym zazwyczaj przez osoby pokryte szlachetną patyną czasu, w stosunku do młodszych opisujących „ich dni”, który sprowadza się do stwierdzenia: „Co oni, tacy młodzi, mogą wiedzieć o tamtym okresie?”. Inne źródła ich nie obchodzą, o ile w ogóle zdają sobie sprawę z ich istnienia. Można by rzec, że przekonani są o prawdzie absolutnej tkwiącej w ich pamięci, która to (prawda) stanowi jasność tak olśniewającą, że często wydaje się zaślepiac

zdrowy rozsądek i zdolność do krytyki źródeł podstawowego warsztatu pracy badacza przeszłości. Z podobnych względów w sądownictwie rozjemcami nie stają się naoczni świadkowie lecz ludzie obcy, obiektywni, zapoznający się ze sprawą dopiero z relacji stron. Pamiętać trzeba, że źródła pamięci, w przeciwieństwie do materialnych, prędzej czy później wysychają, a te którym uda się przetrwać, np. pod postacią pamiętników, potrafią wprowadzić nie lada chaos w koncepcjach już dawno, wydawałoby się, ustalonych (vide: „Dzienniki” Kisiela).

W historii nie ma prawd absolutnych, są fakty mniej lub bardziej prawdopodobne, procesy mniej lub bardziej zdefiniowane, postaci ocenione mniej lub bardziej pozytywnie lub negatywnie. Odeszły czasy jedności w każdej dziedzinie życia społecznego, pożądanej wówczas również w dziedzinie historii. Czy na długo? Miejmy nadzieję, aczkolwiek gradowa chmura political correctness wędrująca uparcie z Nowego Świata nieść może doświadczenia równie nieprzyjemne co szkodliwe. Nie twierdzę przy tym również, że egzystencja w rzeczywistości współczesnej relatywności ocen przeszłych dni, jest prosta. Zwłaszcza dla nas, społeczności postdemoludowej mnogość odmiennych ocen wydaje się czasem nie do zniesienia, jednakże odzwierciedla ona prawdziwą istotę człowieka - niekończące się wybory. Dzisiaj bierzemy w tym udział już od najmłodszych lat, kiedy wybiera się dla dzieci podręczniki szkolne, w których ten sam okres dziejów może być ukazany w zupełnie innym świetle.

Komu więc wierzyć? Kogo słuchać? Czyją interpretację przyswoić na swoje potrzeby? Od tego właśnie są autorytety nauki, ludzie najbardziej wykształceni, posiadający najlepszy warsztat naukowy, największe doświadczenia i wiedzę z różnych pokrewnych dziedzin, potrafiący określić sprawczą siłę procesów historycznych i ich następstwa. W innych przypadkach pamiętać trzeba, że wszyscy doświadczamy bliskich spotkań I, II i III stopnia z historią i że autorytety absolutne dobre są w domu rodzinnym lub Kościele, w nauce zaś warto przyjąć metodę ograniczonego zaufania, za którą stać musi zdolność do formułowania własnych wniosków. Czego sobie i wszystkim czytelnikom życzę.

czerwiec 2000

Francuska choroba

Kiedy jeszcze byłem pastuszkim, czyli licealistą, pewnego razu mieliśmy lekcję na temat stosunków rodzice - dzieci. W przygotowanym referacie jeden z kolegów stwierdził, że upadek autorytetu rodziców i więzi rodzinnych może się zacząć bardzo niewinnie, ot np. od mówienia do ojca po imieniu. Reakcją innego kolegi było stwierdzenie, że to wierutna bzdura, bo zna chłopaka, który jest z ojcem na „ty”, a stanowią doskonałą rodzinę. Zapomniał dodać: „z pozoru”. To co obaj moi koledzy reprezentują sobą obecnie może powiedzieć co nieco o tym, który z nich był bliższy prawdy. Gdyby wówczas, w połowie lat 80, pokazano nam obraz polskiej rodziny AD 2000, nikt z nas nie uwierzyłby w to.

Mineło 15 lat i co mamy obecnie? Ano, np. serial „Klasa na obcasach” produkcji Małgorzaty Potockiej, który miał być naszą odpowiedzią na „Beverly Hills 90210”, ale zamorski serial to w porównaniu z polskim produkt oskarowy. Nie chodzi jednak o artyzm, ale o obraz naszych rodzin i szkół ukazany w filmie. Otóż nie ma tu ani jednej normalnej rodziny, są rozbite, rozpite, przepracowane, ale na pewno nie można ich nazwać normalnymi. Rozrywką młodzieży są dyskoteki techno, głośne, odmóżdżające, pełne zwierzęcego seksu i narkotyków. W szkole nie jest lepiej. Jak można mówić o szacunku jeśli nauczyciele (rodzice też) zwracają się do ucznia po przezwisku, nawet dyrektorka, a nauczycielka angielskiego flirtuje z nim na i po lekcjach. Ach te „angielki”, słyszałem co prawda o jednej takiej, która na studniówce dała się upić swoim uczniom, a następnie wykorzystać seksualnie. Zresztą, może odwrotnie, może to ona ich wykorzystała...

„Stały czytelnik Janek” przesłał nam swoje spostrzeżenia dotyczące wizyty Francuzów zaprzyjaźnionych z radzyńskim L.O. Janek zauważa, że owe szaleństwa w kawiarniach i na dyskotekach, o których pisaliśmy przed miesiącem, nie za bardzo oddają faktyczne wydarzenia z maja br., kiedy to, jak zauważa Janek, „Francuzki (bo nie było żadnych chłopaków, co jest trochę dziwne) co wieczór piły wódkę i innego rodzaju trunki barwy czerwonej”. Później zaś, wiadomo co się dziać mogło: sodomia i gomoria, jak mawiał pewien mój znajomy. Nasz „stały czytelnik Janek” pisze też o braku szacunku dla innych, braku kultury, lekceważeniu nauczycieli i polskich kolegów. Drogi Janku, czy wiesz, że swoim e-mailem naraziłeś się na posądzenie o zaściankowość, szowinizm i faszyzm, bo faszyzmem nazywane jest dziś nie poddawanie się amoralności świata, piętnowanie zbrodni i przestępców, posiadanie zasad i bycie patriotą. Mówisz, że „przyjazd gości z Francji zrobił kiepską reklamę

naszemu miastu". I mówisz słusznie, choć twierdzą ponadto, że zrobił jeszcze gorszą reklamę ich własnemu krajowi. Są to jednak słowa dziś niepopularne, bo dzisiaj większość (a w „demokracji” większość ma rację) wyznaje inną zasadę: chcąc dorównać Zachodowi musimy coraz mniej szanować rodziców, wyśmiewać księży i Kościół, doprowadzić szkołę do upadku, traktować nauczycieli jak Świadków Jehowy przed drzwiami, zażywać więcej narkotyków, mieć 6 partnerów do seksu w tygodniu, pić, palić i wyglądać jak kloszard. Wówczas będziemy Europejczykami. Może wtedy dogonimy Amerykę i tamtejszą szkołę (mam nieodparte wrażenie, że ostatnia reforma oświaty ciężko nieodparcie właśnie w tym kierunku). W familijnych filmach rodem z Disneya człowiek myślący, uczący się, czytający uważany jest za zupełnego idiotę i życiowego nieudacznika. „Kimś” jest zaś modniś, pustak z boiska bądź (obowiązkowo) pedał.



I cóż z tego, że nie podoba się to mnie, tobie czy jeszcze czterem osobom w naszym 17 - tysięcznym mieście. Możemy najwyżej założyć klub anonimowych kontestatorów i ciemnogrodzian, co nie jest pomysłem złym i jeśli kogoś zainteresuje czekam na odzew. Dla otuchy mogę dodać tylko jedno, wszystko to już kiedyś było, nasi moderniości nic nowego nie wymyślają. „Świat ogarnęła pożoga” - mówi panna Cora Monroe do uwięzionego Nathaniela w „Ostatnim Mohikaninie”, a ja powtarzam te słowa za nią. Patrzę przez okno i widzę nasz świat jako Miasto Ruin. Inni zdają się nie zwracać na to uwagi, w tanecznym obłędnym korowodzie, w rytm bezdusznego walenia podrygują swój przedśmiertny dance macabre.

lipiec 2000

Poprawna Madeline

Uczyliśmy się o wychowawczej roli bajek, powiedzmy, Ezopa czy Krasickiego, które mają kształcić piętnując zło i głupotę („naprawdę śmieszna jest tylko głupota i zło” mówił Platon), a jednocześnie, na zasadzie kontrastu, dawać przykłady postaw pozytywnych. Od zawsze bajki, obok przysłów, były „ludową mądrością”, wyrazem owego naturalnego prawa, które bez względu na bezdusznosc rządzących i rzeczywistość ustrojowo-prawną wskazywały, co tak naprawdę w życiu człowieka powinno być najważniejsze.

Dziś bajki, wieczorynki, dobranocki wypierane są przez tzw. kreskówki, czyli - rzec by można - filmy dla małych sadystów. Owe Kaczory Donaldy, Strusie Pędziwiatry, Króliki Bugsy, Heemany, Czarodziejki z Księżycy i cała masa innego badziewia tłoczą dziś małym dzieciom na całym świecie zabójczą odmóżdżającą papkę. I cóż tu się dziwić, że pod względem agresywności w podporządkowaniu sobie świata trzydziestoletni Johny z New Jersey dystansuje Jasia z Lublina, wychowanego na Misiu Uszatku. Ale teraz się odkujemy, wszak z małych sadystów wyrastają dorośli sadyści. Tylko patrzeć, jak niczym żabawne kosmiczne króliki-miluszki z opowiadania Kuttnera zakrzykną: „Świat należy do nas!” Osobiście wolałbym dyktaturę króliczków.

Sięgam pamięcią wstecz, ale nie przypominam sobie dobranoczek, których bym się bał, natomiast mój trzyletni syn boi się co najmniej 40 % kreskówek nadawanych w kanałach dostępnych za pomocą anteny naziemnej. Dość „dziecinne” są jeszcze wieczorynki w TVP i TV Lublin, choć trend na nowoczesność już, niestety, jest zauważalny i tam. Jeśli nie krwawe jatki to polityczna poprawność. Ta ostatnia jest subtelniejsza, ciekawsza i zastanawiająca. Oto film na motywach bajki braci Grimm o kózkach i wilku. Tym razem główną ideą nie jest jednak uchronienie kózek przed paszczą wilka za pomocą sprytu i przyjaciół, lecz pomysł zaprowadzenia w lesie jednej wspólnej rodziny zwierzęcej, w której, niczym na obrazkach z broszurek Świadków Jehowy, lew żyje w zgodzie z owieczką, niedźwiedź niańczy niemowlę sarny, a orzeł flirtuje z myszą. Czy tylko mnie coś to przypomina? Syn wilka - zatwardziały vegetarianin, całkowicie modern, taki współczesny socjalliberał, brzydzi się postawą swych rodziców tradycjonalistów nazywając ich okrutnikami. Prorodzinne to raczej nie jest, a i zdrowe nie za bardzo, zwłaszcza dla dzieci (mówię o vegetarianizmie, choć socjalistyczna mutacja liberalizmu jest zapewne równie niezdrowa), ale za to jakie modne, jakie obrzydliwie poprawne. Zupełnie niedawno piętnowaliśmy czytanekę z książki do języka rosyjskiego, w której sowiecki chłopak zakapował swego ojca wroga ludu. Historia znowu

zatoczyła kółko (malutkie), a może, temat to raczej dla politologów, nie posunęła się do przodu tak bardzo, jak wydaje się to niektórym.

Kolejna wieczorynka i kolejne spostrzeżenie, tym razem szczypta poprawnego feminizmu. Niedzielny wieczór, a więc „Gumisie”. Na zamku króla Gregora odbywa się turniej rycerski, ale, niestety, nie może w nim wziąć udziału księżniczka Kala, no bo jest właśnie księżniczką, a nie Zbyszkiem z Bogdańca z dłońmi jak bochenki chleba. Jakież to niesprawiedliwe! Bee, jak można?! Ale nie martwcie się drogie dzieci, dziewczynka złamie zakaz ojca (!) ... i zwycięży. Nic co męskie nie jest nam wszak obce. A więc drogie panie, hurmem na zawodników sumo, ciężarowców, bokserów, do wojska i na łodzie podwodne. Hajda na traktory. Hm, to ostatnie też jakieś znajome.

„Młodzi bohaterowie” to rysunkowa opowieść filmowa o bohaterskich zwierzętach ratujących las przed kłusownikami. Spokojnie, mnie też się to podoba. Jednakże pod koniec filmu, gdy już wspólnym wysiłkiem dobro zostało nagrodzone, a zło ukarane (przynajmniej to jeszcze funkcjonuje, niekiedy), skrzydlaty strażnik lasu, Pan Sowa, mówi: „Może Ania wreszcie zrozumie, że robienia porządku nie można ograniczyć do własnego podwórka”. Niby nic, a jednak zobaczyłem bajkę tuż po nalotach NATO na bezbronną Jugosławię i zrobiło mi się niezbyt przyjemnie.

No i moja faworytka - „Madeline”, dobranocka oparta na słynnej bajce Ludwiga Bemelmansa z 1939 r. Bohaterką filmu jest mała Madeline, która mieszka wraz kilkunastoma innymi dziewczynkami w pensjonacie dla dziewcząt w Paryżu. Dom prowadzą zakonnice, to widać po stroju opiekunki, który wygląda na habit. Ale na ten temat nie wspomina się w bajce ni słowem. Mówi się wprawdzie, iż dziewczynki każdego dnia, bez względu na pogodę, o godzinie 9.30 wychodzą na spacer. Ale dlaczego tak rygorystycznie czy to deszcz, czy wichura? Czy nie idą przypadkiem na Mszę św.? Sza, toż to niepoprawne. Niedopuszczalne! Co powiedzą niewierzący albo wierzący inaczej?! Przed posiłkiem dziewczęta, owszem, odmawiają modlitwę, ale dość specyficzną: „Przy wspólnym stole w porze jedzenia składamy sobie dobre życzenia”. Jakie życzenia? Ohyda!

O ileż subtelniejsze były dialogi w „Boku i Lolku” (oczywiście w tych ostatnich odcinkach, z dialogami). W cyklu „W 80 dni dookoła świata” dwaj nasi bohaterowie trafiają również do Stanów Zjednoczonych, a jeśli już - nie mogli nie natknąć się na Indian. Po zaprzyjaźnieniu się przyszło niestety rozstanie, w trakcie którego wódz Indian mówi: „Bolek i Lolek zawsze mogą liczyć na pomoc swoich czerwonoskórych braci”. W latach 80-tych miało to swoją wymowę. I to lubię.

Zabobon, mniejszości i kobiecy szowinizm

Mam przed sobą katalog RUCH-u: „Prasa w prenumeracie na rok 2001”, który zachęca do zwiększania ilości zamawianych tytułów prasowych w XXI wieku. Wiadomo, czytać warto. A jest co. Każdy znajdzie tu coś dla siebie, powiedziałby w telewizyjnej reklamie czterdziestolatek z figurą młodego zapaśnika. A jednak, skoro piszę o tym, to pewnie zaraz się czegoś przyczępię. Niech żyje intuicja!

Pomyślałem sobie, jakież to diamenty wynaleźć można w popiele tytułów „wielotematycznych”, „społeczno-kulturalnych” (określenia autentyczne), branżowych, naukowych i politycznych. Jak pomyślałem, tak zrobiłem. I nie myliłem się. Oto blok tematyczny: „prasa kobieca”. Co to jest!? Przejaw emancypacji (zdobycze feminizmu?), czy raczej męskiego szowinizmu, który zepchnął płęć piękną do szufladki z napisem: „chłam i bądziewie”. Pośród oferty RUCH-u odnalazłem 23 pozycje „prasy kobiecej”. Od „Wykrojów”, „Claudii”, „Cosmopolitan” i „Elle” (w kolejności alfabetycznej), poprzez „Na Żywo”, „Naj”, „Oliwie”, „Poradnik Domowy”, „Przyjaciółkę”, aż po „Urodę”, „Votre Beaute”, „Z Życia Wzięte” i „Zwierciadło” - to około 56 % całej „prasy kobiecej”. I nie są to bynajmniej pisma deficytowe. Gdyby nie zarabiała na siebie, nie były kupowane, nie byłoby ich na rynku. Czyli kobiety rzeczywiście wszystko to kupują i pochłaniają. Jasne, że każda ma inny gust, jedna wydaje kasę na „Twój Styl” (a „Życie na Gorąco” czyta po kryjomu), inna bez skrupowania na „Halo -Aktualności z Życia Gwiazd”, „Na Żywo” czy „Super Linie”.

Konkluzja jest więc taka: kobiety kupują tylko tzw. prasę kobiecą. O dziwo, wydaje się, że niewiasty same zamykają się w tej „kobiecej” niszy ekologicznej. Nie ma w katalogu „prasy męskiej”. Nawet „CKM - Czasopismo Każdego Mężczyzny” i „Playboy” figurują pośród pism „wielotematycznych”, obok „Kuriera Wejherowskiego”, „Kulis” czy „Panoramy”.

Kolejne pytanie, czy kobiety kupują tylko prasę kobiecą? Na pewno nie (są jeszcze wszak „Film”, „Ogród”, „Szydełkowanie” - żartuję). Czy mężczyźni kupują „prasę kobiecą”? Na pewno nie, choć, jak wiadomo, od reguł też są wyjątki, które właśnie te reguły potwierdzają. Może chodzi o to, co właściwie wydawca katalogu nazwał „prasą kobiecą”. Nie włączono doń ani „Mamo, To Ja”, ani pisma „Twoje Dziecko”, ani „Dom i Ogród”. Niegdyś atrybuty kobiecości: macierzyństwo i strzeżenie domowego i rodzinnego ogniska,

zdezaktualizowały się. Być może zaliczenie tych tytułów do „prasy kobiecej” obraziłoby ich czytelniczki? Co to ma być?! Tylko dzieci, dom, zakupy?! A co dla nas?! - podniesie się zaraz krzyk. Oto co dla was:

1. „Zastanów się, czego naprawdę chcesz. Może potrzebujesz doskonale utrzymanego domu, nęci cię bogate życie towarzyskie, albo pragniesz zrobić karierę zawodową? Wypisz sobie pięć dążeń, które są dla ciebie (nie dla twojej matki ani męża!) (sic!) najważniejsze i porównaj z czynnościami w swoim codziennym młynie” (Claudia).

2. „Zapalając świeczkę, kadzidelko lub rozpylając aromatyczny spray likwidujesz napięcia i stresi, a przywracasz radosną energię” (Twój Styl).

3. „Masaż pompą ssącą pojędrnia ciało wzmacniając tkankę podskórną brzucha. Urządzenie działa na zasadzie podciśnienia: za pomocą specjalnych tub skóra jest wielokrotnie wciągana i wypychana (...) Poprawia (to) krążenie limfatyczne, usuwa toksyny, przyspiesza spalanie tłuszczu, pojędrnia skórę. [...] Nie pomoże, gdy brzuch jest obwisły” (Przyjaciółka).

Czy to charakteryzuje kobietę współczesną? Jeśli tak, ideałem kobiecości jest moja babcia.

Tyle o kobietach, co zostało jeszcze? (tytuł wymyśliłem wcześniej i teraz staram się odnaleźć coś nt. mniejszości i zabobonu, by udowodnić sobie, że miałem dobre przeczucie). Mówi się, że jesteśmy, my Polacy, nietolerancyjni dla obcych, wysysamy z mlekiem matek antysemityzm, razimy Niemców „Rotą” itp. Szukam prasy mniejszości narodowych oferowanych przez RUCH w prenumeracie i oto mam 5 tytułów: „Ausra”, „Midrasz. Pismo Żydowskie”, „Russkij Kurier Warszawy”, „Schlesisches Wochenblatt Tygodnik Śląski”. A przecież wszystkich tytułów dla mniejszości, dotowanych również z budżetu naszego biednego państwa, jest dużo, dużo więcej. Sam znam jeszcze kilka innych, rozprowadzanych wśród mniejszości w Polsce. Co ciekawe, mniejszości, które pojawiły się nagle po 1989 r. i które ciągle będą się ujawniać w miarę zwiększania dotacji bogatych „macierzy”. Pewien mój kolega stwierdził kiedyś, że nie potrafi zrozumieć swego ojca, który urodził się na terenie Niemiec, a teraz nie chce tego wykorzystać i starać się o niemieckie obywatelstwo. Oto potomkowie Dzieci Wrześni i rodziny Chrząstkowskich - tych od zasady, że między ustami a brzegiem pucharu wiele zdarzyć się może.

No i temat trzeci. Wchodzimy w XXI wiek. Mamy uznanych filozofów, „partię intelektualistów”, technika święci tryumfy, racjonalizm rości sobie prawo do dominacji, a Kościół przeżywa kryzys ze względu na swoją „nieżyciowość”. A jednocześnie (może właśnie dlatego) kwitną najbardziej absurdalne sekty, zabobon zaśmiewa mózgi, różne niuejdże i fengszuje stają się bogiem kultury

masowej. Ludzie w to wierzą, a chcąc być „na fali” łakną dalszych wiadomości. Wydawcy zacierają ręce i oto mamy fachowe tytuły: „Gwiazdy Mówią”, „Horoskop dla Ciebie”, „Szaman”, „Ufo”, „Wróżka”. Czytasz i wiesz, że prawda leży w zasięgu ręki. Może już w następnym numerze?

PS. Przy wigilijnym stole nie zapomnijcie o kadzidełkach, posążku Buddy i pentagramie - jak już wioska, to globalna.

październik 2000

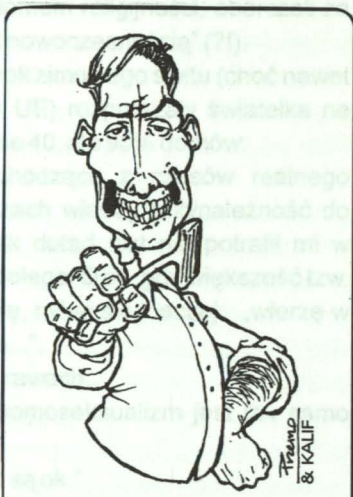
Koszmar cyrulika

czyli o krok od rewolucji antysystemowej

Jak to zwykle bywa, zaczęło się całkiem niewinnie. Zbliżał się dzień imienin mego ojca i trzeba było dać wyraz wdzięczności za możliwość tej nędznej ziemskiej egzystencji. A coś innego może być prezentem bardziej idealnym dla mężczyzny niż sprzęt do golenia (niezły wstęp, prawda? polecam się łowcom talentów ze świata reklamy).

Wybrałem się więc na zakupy, a tu... szok. Nigdzie nie można kupić najzwyklejszej maszynki do golenia na żyletki. Coś, co jeszcze niedawno zalegało każdy kiosk RUCH-u, teraz jest rarytasem, który, owszem, występuje, ale efemerycznie i tylko w dobrych sklepach kosmetycznych. I wytłumacz tu mężczyźnie po pięćdziesiątce, dla którego wymienialne nożyki różnych tam żiletów i filkinsonów są modernistycznym szajsem godnym „Fiorelli” i „Złotopolskich”, że jego czasy odeszły, że teraz golić ma się supernowoczesną maszynką o potrójnym ostrzu i kosmicznym kształcie. A potem nałożyć na twarz płyn, po którym będzie woniał jak właściciel perfumerii, niczym ta platynowa blondynka z powieści Chandlera, co to mogłaby zapachem swoich perfum powstrzymać szarżującego nosorożca.

Po prostu przeraziłem się. Czy świat naprawdę musi tak bez zastanowienia galopować w mglistą przyszłość, choć nie wiadomo czy czasem w tej nieprzeniknionej bieli nie czyha nań zdradliwa przepaść? Palicho krakania, ale czasy wymuszają zmiany zachowań, przyzwyczajęń, a to już kurestwo. Gdzie jest owa wolność jednostki, bożyszcze współczesnej globalistycznej polityki i kultury masowej?! Rzemieślników i małe rodzinne firmy wykończono, by zamienić ludzi w niewolników masowej produkcji. Co z tego, że lubisz oranżadę, skoro cola jest popularniejsza, bo reklamowana i propagowana za niewyobrażalne pieniądze. Musisz kupować colę (korzystajcie póki co z oranżady!). Piwo musi być pasteryzowane, w brązowej butelce, najlepiej z wąską długą



OGOLISZ SIĘ JESZCZE DOKŁADNIEJ !!

szyjką (a tak dobrze było przed laty wypić świeżą Perłę, z beczki, lub nawet w butelce, na której widniała dzisiejsza data produkcji). Teraz jest już tylko data: najlepiej spożyć przed, co oznacza, że browar mógł być wyprodukowany nawet ponad rok temu). I dalej: mleko winno posiadać tyle i tyle bakterii, ogórek mieć długość x-centymetrów, banan być zakrzywiony nie bardziej niż tyle-i-tyle, a wołowina zawierać zarazki choroby szalonych krów. Cóż, moda. Europejskość zobowiązuje. Na szczęście maszynki do golenia jeszcze (!!!) się produkuje. Kilka razy do roku dochodzi do naszego miasta dostawa maszynek znanego światowego potentata produkującego przybory do golenia. Akurat dostawa miała być (i była) za kilka dni, toteż zakupiłem maszynkę, pędzel do golenia, krem (Pollena), paczkę żyletek i spirytus salicylowy jako płyn po goleniu za łączną sumę 16 polskich nowych złotych, czyli w cenie nowomodnej pianki do golenia, średniej zresztą jakości.

W ten sposób ustrój Polski pozostał niezmienny. Rewolucji (na razie) nie będzie.

grudzień 2000



Z notatnika rannego ptaszka

Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia, tyle popularne powiedzenie. Od siebie dodam, że raczej od miejsca siedzenia. Myśl ta przyszła mi do głowy dziś rano, a rano miałem (jak zwykle) nieudany. Jak może być udany, skoro trzeba opuścić przytulny posterunek pod kołdrą i ruszyć w codzienny bój z przeciwnościami losu. System wstawania mam następujący: ustawiam budzik na 20 minut przed planowaną pobudką, a gdy dzwoni włączam radio, które informuje mnie o upływie (notorycznie zbyt szybkim) czasu. Nie muszę chyba dodawać, że w tym czasie oddają się ostatnim chwilom rozkosznej drzemki.

Dzisiaj radio rozbudziło mnie bez problemów, a to z powodu wyników badania religijności Polaków, które przytoczył spiker. Sprawą zajmował się Uniwersytet Stefana Kard. Wyszyńskiego (dawna ATK), a za podstawę religijności wzięto uczęszczanie do kościoła i przyjmowanie Komunii św. Okazuje się, że do kościoła w niedzielę chodzi 47 % naszych rodaków, a 16 % spośród nich przyjmuje Komunię św. Te wyniki przeraziły mnie, ale jeszcze bardziej komentarz spikera, który stwierdził, że dane te dowodzą, iż z naszym Kościołem jest lepiej niż się powszechnie sądzi. (Ciekawe według kogo?). Komentarze słuchaczy (jakie radio, tacy słuchacze) wspominały też, że ta duża religijność (sic!) Polaków utrzymuje się dzięki papieżowi Janowi Pawłowi II, a ci, którzy, jak ja, zdziwieni byli niskim jednak poziomem religijności, obarczali za nie winą Kościół „nie nadążający za cywilizacją i nowoczesnością” (!!).

Wyłączyłem radio i wyszedłem na dwór. Mrok zimowego świtu (choć nawet zimę przystosowano nam już chyba do norm UE) rozpraszały światełka na choinkach przy każdym niemal domu. Na (i w), nie 40, ale 90% domów.

Jest takie archaiczne stwierdzenie pochodzące z czasów realnego socjalizmu, które miało usprawiedliwiać w oczach władzy przynależność do Kościoła: „wierzący, ale nie praktykujący”. Jak dotąd nikt nie potrafił mi w logiczny sposób wytłumaczyć na czym to cudo polega. Dziś, gdy większość tzw. cywilizowanej ludzkości zapadła na schizofrenię, mówi się inaczej: „wierzę w Boga, a nie w Kościół” lub „jestem katolikiem, ale...”.

Pasuje to do poglądów również w innych sprawach:

- „to dobrze, że jesteś heteroseksualny, ale homoseksualizm jest tak samo dobry”;
- „świetnie, że wierzysz w Boga, ale sataniści też są ok.”
- „nie ma tolerancji dla nietolerancji”

i tym podobne sprzeczności świadczące o zaawansowanej chorobie. Nie daj Bóg, byś wierzył w coś w sposób tradycyjny, tzn. gdy gotowy jesteś walczyć o swoje poglądy. Taki ktoś jest fundamentalistą mocniejsze epitety kwalifikują się już do sądu.

Fundamentalistycznie naciągnąłem głębiej czapkę na czoło.

W drodze zaś przypomniałem sobie, że nie włączyłem jeszcze telefonu. Zrobiłem to i wtedy nadeszła wiadomość tekstowa, wysłana przez jakiegoś komputerowego dowcipnisa o 1.10 w nocy: „No dobra, panie kościelny migaczu. Ale kiedy umrzesz i pójdziesz do piekła. Będziesz mógł rozmawiać tylko z diablem. Uncle-fucker”.

Cokolwiek to oznacza, miłego dnia.

styczeń 2001

SPQR

„Gladiator” Ridleya Scotta zdobył 5 oscarów.

Zasłużenie, bo film to doskonały zarówno w warstwie technicznej, jak i ideowej. Kolejny po „Walecznym Sercu”, który wpisuje się w tryumfalny powrót tradycyjnych wartości (nawet do najbardziej zdeprawowanego ze światów - świata show bussinesu) takich jak: honor, ojczyzna, patriotyzm, wolność, miłość, przyjaźń etc.

Po fali obrazów kultywujących nijakość, amoralność, ucieczkę od rzeczywistości, znowu przychodzi czas ideałów. Tego nie da się tak łatwo zabić, bo niosą za sobą nie tylko przykładową najlepszą indywidualną postawę, ale pewien porządek świata, który daje szansę na jego trwanie, pomimo różnorodności. I mało istotne jest, że cesarz-filozof Marek Aureliusz tak naprawdę przywrócenia republiki nie planował, a przygody generała Maximusa są wysane z palca. Najważniejsze, że przesłanie dociera do naszych zmysłów i jest łatwe do odczytania. Postać odtwarzana przez Dereka Jacobi'ego jest doskonałym przykładem polityka, który wie czym tak naprawdę jest ów „lud rzymski” ze starożytnego skrótu SPQR (Senatus et Populusque Roma - Senat i Lud Rzymski), tak eksponowanego, nieprzypadkowo zresztą, w filmie ciemnym motłochem żądnym jedynie chleba i igrzysk. Dlatego chce to zmienić i ma pewien ideał państwa, którym jest dla niego republika. Grakhus wie też, i tej wiedzy brakuje niestety jego współczesnym odpowiednikom, że od jakości chleba i poziomu igrzysk zależy poziom (nie tylko rzymskiego) ludu. Dlatego powinno się serwować mu rozrywki wyższego lotu niż krwawe rzezie gladiatorów wówczas czy chore podniety w postaci programów typu reality show współcześnie.

Człowiek nie jest doskonały, uważam jednak, że właśnie dlatego poprzeczkę powinno się stawiać przed nim jak najwyżej, końcowy efekt i tak zostanie uśredniony. Dlatego nie można wysuwać takich pomysłów jak ten rzecznika praw obywatelskich sprzed kilku tygodni, by zalegalizować domy publiczne, bo prawo nie radzi sobie z ich zwalczaniem. Prawo nie radzi sobie również z kieszonkowcami, pijanymi kierowcami, złodziejami samochodów, a nawet, jak pokazuje życie, zabójstwami komendantów głównych policji (sprawa zabójstwa Marka Papąły), czy z tego powodu należy zalegalizować wszystkie te przestępstwa? Co do niektórych są już takie trendy, jednym z argumentów za legalizacją zabijania nienarodzonych była chęć

ucywilizowania warunków higienicznych w miejscach przeprowadzanych aborcji, mówiąc prosto nie chata baby-zielachy, ale sterylny gabinet ginekologiczny.

kwiecień 2001

Rajskie dorzecze

Od kiedy moje felietony stały się powodem do skarg wnoszonych przez środowiska nimi (felietonami, nie skargami) dotknięte, a nie rozumiejące chyba idei wolności prasy i słowa, dryfujące w samouwielbieniu na poprawnej politycznie (we wszystkich tego przejawach) fali, która przedarła się z morza socjalistycznego prłu (jak Polskę Ludową zwykł nazywać Zbigniew Herbert), przez cieśninę okrągłostołową, do nadbałtyckiego akwenu nr 3, mogę pisać już chyba tylko o hodowli buraka cukrowego na Ukrainie lub sztuce w starożytnej Mezopotamii. Zaczniemy od Mezopotamii.

Na skrawku ziemi pomiędzy Eufratem i Tygrysem panuje sobie dyktator arabski Saddam Husejn. Jeśli nie wierzyć pogłoskom, że nie żyje od 10 lat, a jego otoczenie posługuje się jedynie sobowtorem w celu utrzymania władzy (co skrupulatnie bada ostatnio CIA), żyje mu się tam rajsco. I nie dziwota, wszak urzęduje w miejscu, w którym znajdować się miał biblijny Eden. Nie jest go w stanie usunąć stamtąd nawet elektroniczna maczuga Wuja Sama, co świadczyć może o tym jak niewiele warta jest w porównaniu z ognistym mieczem Michała Archaniola, który bez problemu oczyścił Ogród z niewdzięcznych tworów Boskiej ręki. Być może jest zbyt leniwy, by w zwrotnikowym, suchym klimacie poszukać resztek drzewa mądrości i nie popełniać ciągle tych samych błędów, nie rzucać pogroźek, których nie jest w stanie spełnić, nie pozować na kogoś, kim na pewno nie jest i nigdy nie będzie. Gdyby literatura polska dysponowała siłą propagandy amerykańskiej kultury masowej, nawet on znalazłby zapewne powiedzenie innego Michała, tym razem Wołodyjowskiego: Jeśli nie będą się ciebie bali, to się będą z ciebie śmiali. Pod jego stopami, w pustynnym pyle, drzemie potęga przeszłości tej ziemi, zdobyczy cywilizacji sumeryjskiej, akadyjskiej, asyryjskiej, babilońskiej, perskiej, która już w IV tysiącleciu p.n.e. oddziaływała kulturalnie poprzez swoją sztukę, literaturę, muzykę na cały świat wschodnioazjatycki i śródziemnomorski. Nie trzeba wszak znać sumeryjskiego pisma klinowego, by móc przeczytać mit „Enuma elisz”, epos o Gilgameszu czy legendę o potopie, w którym giną zarówno mali jak i wielcy, ale w pamięci potomnych trwają jedynie ci, którzy zdołali wyrycić ryse na skale czasu.

W ruinach małych edenów dyktatorują sobie na świecie miliony husejnów, którzy nie oglądają się na zdobycze wielkich przodków, nie znają ich pouczających eposów, popełniają błędy, których można było uniknąć, myślą, że

wiedzą, czują, rozumieją lepiej, a w swej nieprzejednanej powadze i przekonaniu o własnej ważności są jedynie śmieszni. I to po nich pozostanie śmiech. Na krótko, bo ile można się śmiać?

maj 2001

Uwięzieni w formie

Zdeklasowany przez spirytualia przedstawiciel intelektualistów, dziś zaliczany przez ogół z uśrednionym IQ, ciągle mniejszym od poziomu inteligencji owego pana (choć woda wyżała mu pewnie już z połowę szarych komórek), do sfery tzw. żuli, dopadł mnie w niedzielne słoneczne popołudnie i towarzyszył (ale obciach) przez bite pół godziny. Cóż zrobić, znajomości zawarte w przybytkach gromadzących piwną (a zwłaszcza winnoowocową) arystokrację nie zawsze są nobilitujące.

Mimo wszystko ciekawa to była rozmowa, a właściwie monolog owego „zakręconego” jegomościa, z którego dowiedziałem się wielu interesujących rzeczy, zwłaszcza zaś tego, jak odbierany jest współczesny Radzyń jego

oczami. Natura jego poprzedniego życia i profesji sprawiła, że mówił o kulturze, polityce miejskiej, o promocji miasta (polecam zwłaszcza osobom zajmującym się promocją naszego miasta), naszej gazecie, z którą identyfikował mnie bardziej niż mi się to należy. Wszystko to przyjąłem poważnie, wiedząc dzięki resztkę humanistycznego wykształcenia tkwiącego jeszcze pod czaszką, że tacy ludzie są do bólu szczerzy, zgodnie z rzymską zasadą: in vino veritas.

Na koniec zaś wypowiedział zdanie, które szczególnie utkwiło mi w pamięci: „Was radzyniaków charakteryzuje przerost formy nad treścią”. Zaraz potem nasze drogi rozeszły się. Ulga, a jednocześnie świadomość niedokończonych myśli, którą musiałem samotnie przeanalizować i (niestety) przyznać mu rację. Dojście do podobnych



wniosek ułatwia prosta rynkowa zasada związana z popytem i podażą. Mamy dyktat demokracji, toteż gdy poziom większości obniża się, a obniża się niechybnie, forma „produktów” oferowanych społeczeństwu przyćmiewa przekazywane treści. Ludzi bardziej zaczyna interesować opakowanie, więc podłg (w znaczeniu „nikłg”) treść pakuje się w kolorowy papier ze złotg kokardg. Im więcej inwestuje się w opakowanie, tym gorsze treści sgg w środku. Im gorsze treści będzie się oferować społeczeństwu, tym jego poziom będzie niższy. I tak w kółko ruchem jednostajnie przyspieszonym (fizyków proszę o wyrozumiałość).

Ciężka jest tego świadomość, bardzo ciężka. I wniosek, że prawa ekonomii powinny funkcjonować tylko w gospodarce, nie zaś, jak próbuje się to robić obecnie, być stosowane we wszystkich przejawach życia społecznego.

Obejrzałem się, by odnaleźć wzrokiem niedawnego rozmówcę, może dogonić go, może pójść razem z nim, by wspólnie oddać się rozpaczom nad sytuacją, w której jedno co warto to... I może spróbować wytłumaczyć się, że ja też, jak on, jestem w Radzynie elementem napływowym. Wtedy słowa Szekspira zabrzmiały pod mę czaszkę: „Błazen utonął w strumyku. Spójrz na wodę, a zobaczysz go”. Głowę zwiesiłem, niemy i...

Dostrzegłem go! Dopadł już innego człowieka, którego męczył o piątaka na piwo. Sama treść, zero formy.

lipiec 2001



Gorzki traktat o kosiarzu

O, jakże marnym pyłkiem jest człowiek wąskiej specjalizacji, nią tylko żyjący. Jakże mały i bezbronny w wielkości i wszechróznorodności otaczającego go świata. Jakże mały w swej małości wynikającej z ciasnoty horyzontu myśli, które kreują małość rzeczywistości. Tym mniejszy im bardziej próbuje podnieść wieżę Babel swojej specjalizacji. Wznosi bowiem ją kosztem innych zagadnień gubiąc gdzieś boską równowagę, która zapewnia egzystencję na optymalnie wysokim poziomie ludzkiego jestestwa. Wówczas to, gdy jednakowo dobrze poukładany jest człowiek w każdej z dziedzin podlegających ludzkiemu zgłębianiu, wydaje się on wyżej stać, nawet jeśli jest to poziom tylko średni, od tego, który posiadał mistrzostwo w, dajmy na to, prawidłowym sposobie pisania i wystawiania się w języku Kochanowskiego i Herberta, a jednocześnie z nauk ścisłych, historii, filozofii, geografii etc. etc. jest niczym więcej, jak ignorantem.

Rozważania to tylko teoretyczne, bo jakże być czytany bez rozumienia tego o czym się czyta, jakże nie wchłonąć wiedzy, o której traktuje pismo. Nikt go wszak nie pisał (zakładamy) dla ćwiczenia ręki, lecz z głębokiej potrzeby upublicznienia swoich przemyśleń. Przykład ten potrzebny był mi jednak do tego, by postawić hipotezę, że żadna wiedza nie usprawiedliwia ignorancji w szkolnych podstawach nauki innych dziedzin. Ileż to bowiem razy widzieliśmy profesorów (ci stanowią i słusznie w społeczeństwie równoznaczność mistrzostwa w danej wąskiej dyscyplinie) chamów, inżynierów półanalfabetów, oratorów nie potrafiących napisać dwóch wyrazów bez trzech błędów. Błogosławieństwo równowagi obce jest wielu i wszyscy oni, choćby nie wiem jak zaślepieni, prędzej czy później zmuszeni będą się o tym przekonać, jak Lech Wałęsa przekonał się, że „masowanie tylko lewej nogi” (Waldemar Łysiak) spowoduje jej rychłą przewagę w masie mięśniowej nad prawą i głębokie tego konsekwencje w postaci upadku społeczno-politycznego na długie lata. Dobrze, jeśli rzeczywiście zrozumieją powód swego upadku.

Czy władze Wielkiej Brytanii rozumieją, że przyczyny rozruchów w Bradford nie tkwią w rasizmie i szowinizmie, ale w ich własnej błędnej polityce imigracyjnej? Czy wydarzenia te nauczą czegoś rządy innych państw ginącej Europy? Od 200 lat „światli” próbują zniszczyć cywilizację, którą pozostawiło średniowiecze, cywilizację charakteryzującą się Boską równowagą. Czy jednak zadajemy sobie pytanie, co proponują nam zamiast tej „ciemnoty”, „zabobonu”, „niesprawiedliwej niepoprawności”? Czy czasem nie mają do zaproponowania

tylko karykatury tego, co pragną zniszczyć? Nie mając możliwości twórczych robią odwrotnie niż stanowiło to Boże prawo cywilizacji łacińskiej, płodzą potwora, który pożre również ich samych. Zachowują się jak ci, którzy, jak pisał jeden z wielkich myślicieli średniowiecznych (zapomniałem który i cytuję z pamięci, więc proszę o wybaczenie za ewentualne przeinaczenia), zakładając zbroję wojownikowi puklerz wkładają na głowę, a hełm na nogę i jeszcze są zdziwieni, że poruszanie się nie wychodzi mu najlepiej. Albo jak owi wojujący zieloni, którzy pod osłoną nocy zakradają się na lisie farmy i wypuszczają zwierzęta nie troszcząc się o to, że na wolności nie mają one najmniejszych szans przeżycia. Oto robienie wszystkiego na odwrót. Małą Pana Boga zwano kiedyś Wielkiego Przeciwnika.

A jednak wielu kusi ich światło, choć nie zadają sobie trudu zapytania, jakie jest źródło tego blasku i w konsekwencji myślą słoneczne światło życia z zimnym i martwym blaskiem księżyca. Zwodzą ich piękne słowa, nazwy, nie sięgają poza fasadę, pod którą jest tylko podły odór zgnilizny. Wszak imię Lucyfer także oznacza „Niosący Światło”, biada jednak tym, którzy to światło przyjmą.

Tak już jest, że im podlejsze zamiary, tym bardziej górnolotne nadaje się im miana. Pamiętamy Orwellowskie Ministerstwo Miłości czy Ministerstwo Obfitości („1984”), które to miana nosiły organa zajmujące się czynnościami wprost do tych określić przeciwnymi. Dziś pod zgrabnym ONZ-owskim sformułowaniem „kontrola urodzin” kryje się również haniebnny zwyczaj zabijania dzieci nienarodzonych, który jest widowym znakiem powrotu neopogaństwa (w wielu krajach, m.in. germańskiej Skandynawii, zwyczaj ów wyparło dopiero chrześcijaństwo). Wspomnijmy zaś tylko, pozostając przy eufemizmach, o eutanazji. Sam nie znajdując w sobie argumentów dla uzasadnienia rzeczy oczywistych (znany paradoks), wezwę na pomoc Augustyna z Tagastu, wszak święty i doktor Kościoła, który mówi jasno: „Grzechy przeciw naturze, jak te, które popełniali sodomici [patrz ohydne zwyczaje mieszkańców biblijnej Sodomy: Rdz. 19, 4-11 przyp. aut.], wszędzie i zawsze zasługują na potępienie i karę. Choćby je popełniały wszystkie ludy, wszystkie byłyby na mocy prawa Bożego uznane za tak samo zbrodnicze” (św. Augustyn, „Wyznania”, III 8).

W jakim zaś kontekście słyszymy bez ustanku o działalności Instytutu Pamięci Narodowej (próbuję chyba zasłużyć raczej na miano: Moralnego Kaca Narodowego)? Co poza dobijaniem oddolnych inicjatyw społecznych i dyskredytowaniem dotychczasowych osiągnięć robi Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, którego wizytówką stały się afery w warszawskiej Zachęcie. Ministerstwo Edukacji Narodowej sprowadziło oświatę do popłuczyn

godziwej edukacji i nawet do Referatu Oświaty niesławnego PKWN ma się jak PKP-owski ekspres do pociągu relacji Osaka - Tokio. Ministerstwo Obrony Narodowej po 10 latach nieustannych redukcji nie jest już w stanie obronić nie tylko narodu, ale nawet własnych koszar. Może dlatego zadanie to zaczyna zlecać firmom ochroniarskim. Im bardziej słowo „naród” próbuje się dyskredytować i wyrzucać poza nawias „cywilizowanego społeczeństwa”, tym bardziej szafuje się samym określeniem, czego celem może być tylko wypaczenie jego prawdziwego znaczenia w społecznej świadomości.

O, błogosławiona równowago! Gdzież podziła się równowaga ducha i ciała? Rozwijając zdolności umysłowe i folgując chuciom zapominamy o ciele, które przystosowuje się owych nieruchomości strawionych nad książką, jedzeniem, piciem, oglądaniem etc. godzin, obumierają jego zdolności motoryczne, staje się cielesną powłoką dla wnętrzości, potrzebną po to tylko, by zapewnić istnienie rozumowi. Ale niech przyjdzie chwila próby, kiedy wartość umysłu i ciała znaczą tyle samo, a szybko dowiemy się, cóż to takiego ta błogosławiona równowaga. Dobrze, kiedy silny duch, owa „dusza płonąca” Leona Degrelle'a, może liczyć na ciało sprawne i podległe mu w najmniejszej części. Można wówczas pozwolić sobie, by degrellofskie „ludzkie bydlę” wyło z bólu i zmęczenia. Gorzej, gdy duch osamotniony i pozostawiony przez zdegenerowane ciało na pastwę przeciwności.

O, błogosławiona równowago, jakże mało potrzeba, by doświadczyć braku ciebie, i upaść złorzecząc, że drogi nawet jeszcze nie początek, że kosa dopiero co zanurzyła się w mokrą od rosy trawę, a „ludzkie bydlę” kosiarza już wyje w bólu skargi, który oczywiście zostanie wysłuchany. I znowu, dobrze jeśli zrozumie powód swego upadku.

sierpień 2001

Widokówka z wakacji

Znajomy twierdzi, że cywilizowaną ludzkość (kto odważy się zgadnąć, co to takiego?) dręczy schizofrenia. Znaczy, mówią co innego, a robią co innego. Niestety, znajduję w tym nie tylko ziarno, ale cały metr ziarna prawdy. Powieści można by o tym pisać, lecz zatrzymam się na jednej tylko, błahej sprawie: wakacjach.

Chcemy wypoczywać i to nie może dziwić, wszak przez cały rok ciężko pracujemy na naszą marną egzystencję (odmienna to sprawa celowości owego zapamiętałego robienia pieniędzy). Cóż jednak jest wypoczynek (że strawestuję słynne powiedzenie nieszczęsnego Piłata)? Czy rzeczywiście jest wytchnieniem danym ciału i duchowi po codziennym wysiłku fizycznym i psychicznym? Jeśli tak, co sądzić należy o tłumach, które w miesiącach wakacyjnych wydają całoroczne zaskórniaki (ba, zapożyczają się!), by wyjechać na jakieś Seszele, Majorki, do Egiptów, Grecyj, Turcjów itp. barbarzyńskich krajów. Któż uwierzy w to, że kilkugodzinna podróż, mieszkanie w obcym miejscu, w strachu przed złodziejami, dyzenterią, separatystami, terrorystami, AIDS, zboczeńcami, w skwarze plaży i duchocie tropikalnych nocy pełnych moskitów, a jeśli biuro podróży nie dopisze to i pluskiew, jest wypoczynkiem. Owszem: jest poznawaniem nowego, ale nie wypoczynkiem. Jest snobizmem wśród sfer i modą wśród nizin (i odwrotnie, jeśli ktoś przypadkowo się tam zaplątał). Czymże bowiem innym to być może, jeśli słyszę na początku lipca, że drogi Europy Zachodniej całkiem zakorkowane. Wszyscy (co to jak nie snobizm i moda?) jadą wszak na (i po kolei) Seszele, Majorki, do Egiptów, Grecyj, Turcjów etc. Z roku na rok zmieniają się (jak to moda) tylko owe kraje, do których „wypada” się udać.

A wypoczynek to godny pożalowania. Przyjeżdża potem taka pani urzędniczka z kurortu w Maroku, opalona, dumna, że była, że wywiozła z Afryki swoją białą skórę, a jednak znerwicowana ciągłą obawą o siebie, biuro podróży, rodzinę zostawioną w domu, pieniądze topniejące jak lód, zmęczona podróżą. Przychodzimy coś załatwić i klęska, boć nie tylko wystawiamy na próbę zszargane nerwy, ale jeszcze śmiemy, my, którzyśmy tylko Białoruską Socjalistyczną Republikę Radziecką w słodkich latach PRL-u widywać zwykli, na oczy globtroterskie jej się nawijać. I chryja gotowa.

A ukojeniu ciała i duszy służy cisza, szum lasu, śpiew ptaka, co śmiga w przestworzach, wyprawa na grzyby, posiedzenie z wędką nad wodą, tym

bardziej, że obawa przed dotykiem zimnokrwistego jej cielska niezbyt wielka, bo w tym kraju rzeczywiście już chyba tylko ryba nie bierze. Wiem ja jak wyglądają owe egipskie kurorty, oazy na pustyni, w których są tylko dwie kategorie ludzi: obsługa hotelowa i turyści. Nawet do sklepu nie można wyjść, bo nie ma sklepów. Gość hotelowy musi zaopatrywać się w hotelu (kasa, kasa, kasa), a muzułmańską pamiątkę można sobie kupić w czasie całodiennej wycieczki po bazarach Kairu.

Tymczasem wystarczy wyjechać kilkanaście kilometrów od Radzyna, by dostrzec Polskę niecywilizowaną, a dzięki temu prawdziwą, gdzie słońce budzi skoro świt zaglądając przez małe okienko wiejskiej chaty, gdzie do rangi rytuału urasta codzienna toaleta, a i nasza inteligencja ma możliwość wykazania się, gdy trzeba dokonać codziennej ablucji li tylko przy pomocy niewielkiej miednicy. Gdzie rytm dnia wyznacza dzwon pobliskiego kościoła, niezawodny strażnik naszego czasu, gdy o świcie wzywa na poranne nabożeństwo, w południe na Anioł Pański (jakże nie oderwać wówczas myśli od rzeczy nieprzystojnych?), a wieczorem na nabożeństwo wieczorne. Nie wypada odmówić, zmierzamy tam więc przechodząc obok cichego, małego cmentarza, miejsca, w którym przeszłość namacalnie dotyka teraźniejszości. Odmawiamy „Zdrowaśkę” za duszę człowieka, który 10, 20 czy 50 lat temu wykonywał identyczne czynności w rytm tego samego dzwonu. W kościele zdziwimy się, że to ciągle ta sama wiara, jaką i my wyznajemy, tak tu inaczej, ciekawiej, święciej, ale to tylko tradycja, którą my, ludzie ponowocześni zagubiliśmy gdzieś po drodze. I oto szansa, by odkryć ją na nowo i zaszcześcić naszym błędzącym sercom.

Wychodzimy z kościoła i kolejne zaskoczenie, bo ludzie nie pędzą do domów jak ścigani przez wściekłe psy, lecz zatrzymują się na kościelnym placu, zamieniają ze sobą kilka zdań, ba, przychodzi i sam ksiądz proboszcz, który włącza się do rozmowy. Zaczepia i nas jako obcych, pyta skąd jesteśmy i u kogo letniskujemy. Cmentarz kościelny jest więc jedynym miejscem, w którym dwóch ludzi mieszkających w dwóch krańcach wsi może porozmawiać, spytać w zdrowie, ponarzekać po polsku.

I już wieczór. Po kolacji możemy posiedzieć z zimnym piwem na ławce przed domem i wsłuchiwać się w granie świerszczy, odległe ujadanie psów i porykiwania krów domagających się powrotu z pastwisk do swych obór. A do nozdrzy naszych dolatuje miodowy zapach ni to kwiatów, ni rzeczywistego miodu. Z wolna, wraz z upływem piwa w butelce, odgłosy te milkną, oddalają się, mrok otula rosnące wokół krzaki porzeczek i leszczyn, i tylko woń miodu wzmacza się, jakby niesiona na maleńkich skrzydłach komarzych, których bzyki

przypominają o udaniu się na spoczynek. Jak tu nie chwalić Stwórcy za tę przepiękną naturę, za atmosferę, jak zapomnieć o wieczornej modlitwie, skoro usta same składają się do niej.

W domu okazuje się, że gorąca herbata nigdy nie smakowała lepiej. Ścielimy łóżko pod czujnym okiem postaci na świętych obrazach, kładziemy się zawstyżeni, a lampka przy łóżku umożliwia spędzeniu jeszcze kilkudziesięciu minut z książką. Nie pamiętamy już o telewizji, polityce, świecie. Po zgaszeniu światła okazuje się, że głęboka cisza tętni nam w uszach, pulsuje, przeszkadza nawet, ale już sen wyrzuca ją poza nawias świadomości. Zasypiamy, by nazajutrz odrodzić się do podobnego, choć nie monotonnego przecież dnia, bo szczęście nie może być monotonne.

Taki urlop potrafi dać wypoczynek fizyczny, a zwłaszcza psychiczny. Nie jestem przeciwko turystyce. Proponuję jedynie „odpowiednie dać rzeczy słowo” i turystykę nazywać turystyką, a wypoczynek wypoczynkiem. Snobizm snobizmem, a modę modą. Wiadomo, że głód miejsc odległych potrafi być wielki i należy go zaspokajać. Nie myślmymy jednak, że przyniesie nam on coś więcej ponad zmęczenie i zdjęcia. Tak już bowiem jest, że z wycieczek turystycznych zadowoleni jesteśmy dopiero dłuższy czas po powrocie do domu. Dobrze, że chociaż kolegom można pokluć w oczy. Choć tyle satysfakcji za niemałe przecież pieniądze.

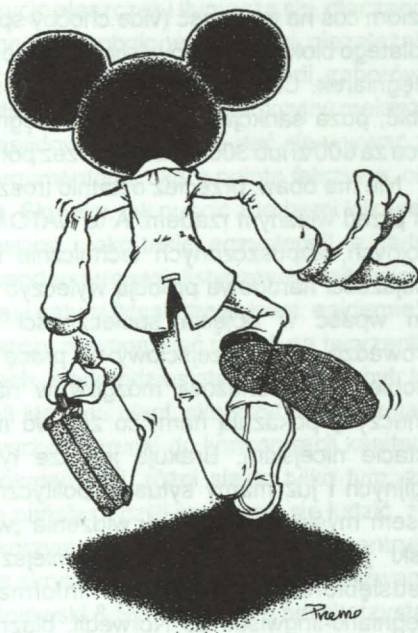
UWAGA: Artykuł nie jest tekstem sponsorowany przez żadne gospodarstwo agroturystyczne.

wrzesień 2001

Docenieni

Wreszcie nas doceniono! W sensacyjnym „nisiu” prezenterka TV z rozpromienioną twarzą podała, że polscy pracownicy są pilnie poszukiwani na Zachodzie. Tak, to ewidentny sukces rządowej walki z szalejącym bezrobociem i karta przetargowa na najbliższe tygodnie. Otóż Francja jest gotowa zatrudnić kilkudziesięciu Polaków w Eurodisneylandzie. Rewelacja! Jeśli chcesz zostać Myszka Miki, Kaczorem Donaldem lub Psem Pluto, znasz angielski, masz predyspozycje do błaznowania - zgłoś się. Biorąc pod uwagę ten ostatni atrybut i otaczającą nas rzeczywistość, kandydatów nie powinno zabraknąć. Ja, jako zapalony demokrat, poszedłbym jeszcze dalej i zaproponował plebiscyt. Dla oszczędności (czarna dziura budżetowa) można by go zorganizować przy najbliższych wyborach. Oprócz standardowego głosowania, czerwonym pisakiem należałoby dodatkowo zakreślić kandydata proponowanego na naszego przedstawiciela w podparyskim parku rozrywki. Niby to nie Komisja Europejska, ale można by było z czasem przekształcić go w instytucję paneuropejską, na rzecz której Rzeczpospolita Polska, zgodnie z Art. 90 obowiązującej Konstytucji, mogłaby przekazać kompetencje organów władzy państwowej. Wówczas, jako że jesteśmy tam tak cenieni, moglibyśmy uzyskać całkiem niechlą reprezentację. W dodatku pozbędziemy się z Polski największych jajcarzy. W przeciwnym wypadku wszystkim nam już wkrótce grozi coś znacznie gorszego niż zajady ze śmiechu.

wrzesień 2001



Folwark europejski

Pewien profesor starej daty i moralności sprzed dyktatury demokracji i „żądzy pieniądza” zwykł mawiać o tych ostatnich w sposób następujący: etat i praca u kogoś jest rzeczą poniżającą, bo wysiłek włożony przez nas zawsze będzie wydawał się większy niż zarobki oferowane przez pracodawcę, co w efekcie odbija się na naszym honorze. Własny interes, powiedzmy handel, opiera się na oszustwie, człowiek zawsze będzie starał się wyciągnąć od drugiego więcej niż wyłożył sam, jakże więc nazwać to inaczej? Można próbować wygrać, ale wygrana to zawsze małe szczęście, dla którego nie warto poświęcać ludzkiej godności. Co więc pozostaje, nic tylko odziedziczyć fortunę. Dziedziczenie fortun grozi nielicznym, dlatego nadal będziemy borykać się z codziennym poniżaniem naszych coraz mniejszych ludzkich godności, by zarobić większy bądź mniejszy ochłap uludy niezależności. Wbrew pozorom pieniądze jednak nie uniezależniają, uniezależnia własność. Czyż nie daje do myślenia, dlaczego System (słowem tym określam ogólnoswiatowy trend [trać?] sprawujących władzę ku demoliberalnej globalnej wiosce) tak boi się dać ludziom coś na własność (vide choćby sprawa powszechnego uwłaszczenia)? To dlatego blokady chłopów (słynna lepperiada) były skuteczniejsze od strajków pielęgniarek. Chłopu, uwłaszczonemu przed ponad stu laty, niewiele można zrobić, poza sankcjami karnymi. Pielęgniarki zaś można dać prosty wybór: praca za 600 zł lub 300 zł zasiłku przez pół roku. A potem?

Nie ma obaw, przecież ostatnio troszczą się o nas wszyscy i wręcz bronią nas przed własnym rządem. A to NATO troska się o siłę obronną polskich sił zbrojnych, zapuszczonych technicznie i likwidowanych ponad miarę, a to mniejszości narodowe próbują wyleczyć Polaków z wad, które nie pozwalają nam wpaść w objęcia społeczności międzynarodowej, a to Hiszpania wprowadza okres przejściowy na pracę polskich naukowców na Zachodzie zapobiegając drenażowi mózgów w naszym środowisku naukowym, zaś Irlandczycy pokazują nam, co zdrowo myślący człowiek sądzić powinien o traktacie nicejskim. Brakuje jeszcze tylko wzięcia w obronę mniejszości religijnych i już mamy sytuację polityczną z połowy XVIII wieku. Tak sobie czasem myślę, że z punktu widzenia „warszawki” najlepszym wyjściem dla Polski jest pozbycie się najzdolniejszych, najbardziej wykształconych i przedsiębiorczych obywateli. Informatycy do Niemiec, wykształcone pielęgniarki-lingwistki do Norwegii, blazny do Eurodisneylandu etc, etc. A

reszta..., ale są ogłoszenia. Bardzo proszę. Biorę gazetę regionalną, kartkuję. Są oferty! Na tych, którzy nie chcą składać długopisów, być domokrądcą lub klepać blachy w Niemczech czekają takie propozycje jak: „Agencja towarzyska, zakwaterowanie”, bądź „Dziewczyny (zakwaterowanie) klub nocny zatrudnię”. Zbyt mały wybór? Proszę bardzo, rubryka obok o wdzięcznej nazwie „towarzyskie” (czyt. stręczycielstwo, żeby użyć tylko eufemizmu). A tam wybieraj, przebieraj. Dla młodzieży (slang młodzieżowy) „Superlaski”; dla starszych lub nie odbierających na falach subkultur „Superdziewczyny”; dla nie przekonanych „Pokusa”; dla bezdomnych lub obdarzonych współlokatorem „Lokal”; dla młodzieży starszej „Dziewiętnastolatki”. Dla „kochających inaczej” „Zatrudnię chłopców”. Ileż możliwości, pokus, no i zdumienie, że tyle ofert pracy w samym tylko lubelskim „Dzienniku Wschodnim” za przysłowiową i rzeczywistą złotówkę. I konstatacja, oto znowu, tym razem dosłownie, Polska nierządem stoi. I nie tylko Polska. Wystarczy otworzyć oczy, by potwierdzić, że Mikołaj D. Davila miał rację twierdząc, iż „dzisiejszy świat demokratyczny pogrąża się powoli w bagnie z gówna i spermy”. Obiekcje można by mieć tylko do tego „powoli”.

Bywają za to często u nas goście z owych cudnych krajów zachodnich, przed którymi gospodarze przyjmują pozycje płaszczyk i tłumaczą się, dlaczego polskie rolnictwo jest takie powszechne, rozdrobnione, a chłopci niezależni. Argumenty, owszem, przytaczają słuszne, że to wynik naszej historii, zaborów, wojen, kiedy to tylko drobna, prywatna własność chłopska, produkcyjny melanż, była w stanie utrzymać polskość, skonsolidować naród, nie dać się wyrwać z korzeniami. Cóż jednak po słusznych argumentach, skoro pointa fałszywa, co zrobić z tą niekorzystną (sic!) spuścizną. Słowem, jak puścić z torbami kilkaset tysięcy gospodarzy, pozbawić ich ojcowizny, i jako takiej egzystencji, a na to miejsce stworzyć kilkaset farm, czyli gospodarstw specjalistycznych, całkowicie zależnych od koniunktury (czyt. państwa) i natury (kłęski żywiołowe, epidemie). I oto historia znowu zatacza koło, wystarczy przypomnieć nacisk na tworzenie gospodarstw specjalistycznych w latach siedemdziesiątych. Wtedy był to pogrobowiec trendu ku kołchozom i jeśli ktoś mu uległ, skończył podobnie jak one. W ten sposób System próbuje stworzyć warunki do koncentracji kapitału również na wsi. Od rzeczywistości z okresu PRL różni się to tylko tym, że wówczas kapitał koncentrowało własne państwo, czyli mogliśmy się łądzić, że jako jego obywatele coś na tym skorzystamy. Teraz kapitał koncentruje anonimowa międzynarodowa finansjera skryta za nic nie mówiącymi nazwami firm. Można być pewnym, że Janek Wiśniewski & Syn nic na tym nie skorzysta. Chyba że, jako wysoko postawiony urzędnik, łaskawie da się skorumpować.

Tak oto coraz powszechniejsze staje się przekonanie, że w 1989 roku Polacy nie zamienili systemu politycznego, lecz że realny socjalizm poddano przyspieszonej ewolucji, a III RP jest niczym innym jak mutacją PRL. (patrz: rozważania osobistości z polskiego życia naukowego i społeczno-politycznego w ankiecie „Od komunizmu totalitarnego do komunizmu demokratycznego”, Christianitas nr 8 z 2001 r.). Obraz Europy przełomu wieków rodzi zaś w pełni uzasadnione przypuszczenia, że „zimną wojnę” wygrał jednak blok sowiecki, który przy pomocy zmutowanego wirusa komunizmu zakaził resztę tzw. cywilizowanego świata. Dziwnie komponują się z tym wieszczce przypuszczenia polskich intelektualistów z połowy XX wieku. Leopold Tyrmand w swym „Dzienniku 1954” pod datą 7 stycznia pisał: „Zbyszek [Herbert] jest pod wpływem rozmów krakowskich i utrzymuje, że nie tyle pokój, ile brak starcia potrwa około pół wieku. W tym czasie Rosja osiągnie bezsprzeczną przewagę moralną, przemysłową i militarną nad Ameryką, tak że należy liczyć się ze zwycięstwem rosyjskiej koncepcji świata. Wyczuwam w tej tezie wpływ Kisiela, który ostatnio tak rozumuje; mnie wydaje się ten tok rozumowania na ogół słuszny, dodaję tylko, że ewentualne zwycięstwo komunistycznej koncepcji świata nie oznacza jeszcze jej wewnętrznej nienaruszalności; może być ona poddana najróżniejszym fluktuacjom, których charakteru ani zasięgu nie jesteśmy w stanie w tej chwili przewidzieć (podkr. moje). Jakoś tam wpisuje się to w plany samych komunistów. W przemówieniu wygłoszonym podczas Krajowej Konferencji Delegatów PZPR w połowie lat 80 gen. Jaruzelski (wówczas I sekretarz KC PZPR) mówił: „Polska, która istnieje między Bugiem a Odrą jest socjalistyczna, innej nie ma i nie będzie”. Rażące szczegóły charakteryzujące na pierwszy rzut oka Polskę Ludową usunięto, lecz wraz z imponderabilia pozostały. Po 10 latach coraz więcej ludzi, niczym zwierzęta z „Folwarku zwierzęcego” Orwella, zagląda w okna chaty zamieszkałej przez rządzące świnię i nie wierząc własnym uszom słyszy, jak knur Napoleon tokuje ku wysłannikom unii ludzkich gospodarstw o przystosowywaniu własnej zagrody do ich norm: „Na folwarku zostały ostatnio wprowadzone pewne zmiany, których celem jest utrwalanie zaufania sąsiadów. Dotychczas zwierzęta miały np. niezbyt mądry zwyczaj zwracania się do siebie per 'towarzyszu'. Ów zwyczaj będzie zniesiony. Inną dziwaczną tradycją nieznanego pochodzenia było defilowanie w niedzielę rano przed czaszką jakiegoś wieprza, przytwierdzoną do słupa ogrodowego. Temu także położy się kres, a czaszkę już zakopano. Szanowni goście być może zauważyli też zielony sztandar na maszcie. Jeśli tak, zapewne spostrzegli, iż białe kopyto i róg, które uprzednio zdobiły sztandar, zostały usunięte. Odtąd będzie to zwykła zielona flaga”.

I, jak kończy swą powieść George Orwell, biedne zwierzęta przestały już odróżniać ludzi od świń, widziały za to coraz większą różnicę pomiędzy nimi samymi a wierzmem Napoleonem, który pełnym ryjem był już obywatelem nie ich folwarku, lecz tego, co poza nim świata.

liśtopad 2001

Księżniczka i wiedźma

Płotka (nie mylić z wierzchowcem najsłynniejszego z wiedźminów - Płotką) to rzecz powszechna i każdy chyba miał z nią do czynienia. Czegóż w niej nie ma i cóż w niej jest, długo by można rozważać. Zwykle zaczyna się całkiem niewinnie (jak kłopoty), lekko, bez specjalnego zaangażowania ludzi, niczym dziecinna zabawa w głuchy telefon, ot tak od niechcenia. Przeważnie, lecz nie zawsze. Czasem rodzi się w mrocznych, jak myśli deathmetalowców i sumienia polityków, pokojach i gabinetach, bądź to jako produkt uboczny ich działalności głównonurtowej (gdzie drwa rąbią...), bądź produkt bazowy mający spełnić określone zadanie. Królujący współcześnie postmodernizm (świetne to słowo, można nim określić wszystko, co tylko przyjdzie nam do głowy, a i tak wypadnie intelektualnie) sprzyja zaś rozprzestrzenianiu się „prawdy inaczej”. Płotka to taka szpetna starucha z domku na kurzej stopce i pryplem na nosie, która w wieści gminnej przybiera postać księżniczki, o urodzie której minstrele układają pieśni i za której cześć rycerze piorą się po mordach. Lud zaś uwielbia zarówno turnieje, jak i popisy minstrelów.

Wieść o budowie garaży koło bloków poraziła ich mieszkańców, choć na zdrowy rozum była to iście mission impossible, z której pod angielskim wąsem uśmiechnąłby się nawet posągowy strażnik spod pałacu Buckingham. A jednak plotka ta tak rozwścieczyła pewnego prostodusznego jegomościa, że wysmarował do magistratu epistolę, w którą przelał całą gorzką żółć leżącą mu na wątrobie. Jakich argumentów tam nie było (skądinąd słusznych), a to że brak drogi pożarowej, a to placu zabaw, oraz innych (skądinąd chamskich), których w kulturalnym felietonie przytaczać się nie godzi. Pięknie pomyślane, choć osobiście, dla podniesienia dramatyzmu, dodałbym, że garaże te przeznaczone mają być dla czarnych limuzyn, którymi poruszają się urzędnicy miejscy porywając niewinne radzyńskie dziatki.

Rzecz warta byłaby jeszcze jednego wzruszenia ramionami, gdyby nie ciąg dalszy całej tej historii. Czy to czas zatoczył koło, czy tylko mityczny skandynawski wąż kolejny raz połknął swój ogon? Ledwie postkomuna wróciła do łask ludu pracującego miast i wsi, ledwie w imieniu robotników, chłopów i inteligencji pracującej dawny aparatczyk został premierem Polski (panu „Gorączce”, który chciał się doń odwoływać przypominam, że nie ma w naszym państwie funkcji premiera Sejmu) z namaszczenia prezydenta swego kolegi, byłego jastrzębia z komunistycznego rządu, a już mamy kolejną powtórkę z

rozrywki (efekt domina?). Otóż i następny relikw przebrzmiałej epoki: samokrytyka. Pan „Gorączka” zorientował się, że ciąg przyczynowo-skutkowy jego działań zbudowany jest na nieistniejących fundamentach - słowem, na bujdie. Wyprowadzony na manowce, zabrnął w chaszcze, poranił się i ... zrozumiał swój błąd. Jak to Polak poniewczasie, ale (to również po naszymu) w kolejnym liście szczerze przyznał się do tego. Masochistyczna samokrytyka była już tylko konsekwencją. No i życzenia dalszych sukcesów na niwie służby publicznej i w życiu prywatnym dla burmistrza. Czy jednak zrobił to, co przede wszystkim powinien był uczynić, szczerze „podziękował” swojemu informatorowi?

Opowieść ta (prawdziwa, mam wszak przed sobą oba listy), jak Ezopowa bajka, niesie ze sobą morał: zachowujmy zdrowy rozum i miejmy głowę na karku, choćby po to, by potem nie tłumaczyć się własną głupotą, ignorancją, łatwowiernością. Piekło wybrukowane jest dobrymi chęciami, a nekropolie Dzikiego Zachodu rewolwerowcami o „swędzących dłoniach”. Przede wszystkim jednak warto zastanowić się czy czasami komuś nie zależy na tym, by dana plotka zaistniała między ludźmi. A jeśli tak, to komu? Po co? Dlaczego w tym momencie? Starożytna zasada mówi, że za przestępstwem stoi zwykle ten, kto zyskał na nim najwięcej.

Warto też zdawać sobie sprawę z następstw rozpowszechniania fałszywych świadectw i półprawd. Jest taka prasowa metoda dyskredytacji stosowana ostatnio nagminnie, kiedy to w formie sensacji na pierwszych stronach gazet obwieszcza się jakąś rewelację, by potem, po tygodniu, dwóch, trzech, najlepiej wtedy gdy sprawa przycichnie, maczkiem, gdzieś pod koniec magazynu, pomiędzy reklamami umieścić sprostowanie czy uzupełnić. Przeczyta je 15% czytelników, przyswoi jeszcze mniej i efekt gotowy. A błoto na człowieku pozostaje. Skuteczne, choć nieetyczne, kto dziś jednak przejmuje się etyką?

Przynajmniej pan „Gorączka” będzie już zastanawiał się nad zasłyszonymi „nowinkami”, czego też wszystkim zmierzającym ku pachnącej malinami kępie zarośli życzę.

listopad 2001

Quo vadis

Beztrosko zgodziłem się napisać komentarz (recenzję?) po obejrzeniu pierwszej polskiej ekranizacji „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza. Film obejrzałem, przetrwałem, wziąłem kartkę papieru, pióro i ... Cóż mogę bowiem powiedzieć naszym kinomanom fanatycznym i niedzielnym (od rodzimej superprodukcji do superprodukcji), krytykiem filmowym nie jestem, na efektach specjalnych się nie znam, sztuczności rekwizytów, na co uwagę zwracali inni recenzenci (jak widać przygotowałem się do zadania i przeczytałem komentarze fachowców), nie odczułem. Coś jednak trzeba mądrego napisać.

By od czegoś zacząć wrzucam do odtwarzacza płytę zespołu Quo Vadis z rewelacyjną interpretacją utworu „Ta ostatnia niedziela” i przychodzi mi na myśl niedawna dyskusja w koleżeńskim gronie na temat Sienkiewiczowskiej powieści z życia pierwszych chrześcijan. A to, że jest kiczowata, postaci papierowe, nie dorównuje innym utworom pisarza, choćby Trylogii. Że Nobel to nagroda polityczna i nie świadczy o klasie literata.

To wszystko poniekąd prawda, względy polityczne zawsze odgrywały niepoślednią rolę w tej kategorii nagród przyznawanych przez Szwedzką Akademię Królewską i dziś, by zostać nią nagrodzonym najlepiej być czarnoskórym twórcą w postimperialnym trzecim świecie lub obrazoburcą z lewacką przeszłością. Jednak to trwanie na stanowisku pozaliterackich względów w przyznawaniu nagrody ufundowanej przez twórcę dynamitu, doskonale pokazuje, jak świat zmienił się w ciągu tych 96 lat. Właśnie dzięki temu wtedy za „Quo vadis” został uhonorowany H. Sienkiewicz., bo jego powieść to idea, która, jak doskonale zdawano sobie z tego sprawę, leżała u podstaw ówczesnego świata. To głos w, jak z kolei nazwalibyśmy to dziś, walce cywilizacji śmierci, reprezentowanej przez Nerona i pogański świat imperium rzymskiego, z cywilizacją życia, którą wyznawali Piotr Apostoł i reszta wyznawców wiary Chrystusowej. Ten bój i ostateczne zwycięstwo cywilizacji chrześcijańskiej jest motywem przewodnim powieści, to również powinien więc pokazywać i film. Wydaje mi się, że Kawalerowiczowi się to udało. Ten film nie musi zachwycać efektami specjalnymi, nie musimy patrzeć na hektolitry chrześcijańskiej krwi (to również jeden z zarzutów krytyka filmowego do słynnej sceny z lwami), chodzi natomiast o to, by aktorzy oddali najważniejszą rzecz w procesie chrześcijańskiej metamorfozy - nawrócenie. Jerzy Trela w roli Chilona zrobił to idealnie. Bogusław Linda, oczywiście, idealny w roli Petroniusza, to

zresztą rola jakby napisana „pod niego”. Michał Bajor może nieco przerysował postać Nerona, choć wykreował w ten sposób nową osobę: cezara straszego w swej śmieszności. Piotr Apostoł charyzmatyczny, Paweł z Tarsu mądry (choć nie za bardzo wygląda na człowieka, który stworzył podwaliny pod widzialny Kościół), chrześcijanie fanatyczni (oj...!), Ligia ładna, wszystko więc wydaje się w porządku. No i ostatnia scena powalająca: Piotr Apostoł powracający do współczesnego Rzymu (zaraz zaraz, co to może być dzisiaj Cesarstwem Rzymskim?) - siedliska pogaństwa, rozpusty, zbrodni, po to by Jezus Chrystus nie musiał poddać się ponownemu ukrzyżowaniu. Mocne!

Chłopaki z Quo Vadis kończą swój cover. Dobranoc.

niebdiela, 11 listopada 2001, godz. 22.30

Harry Potter i C₂H₅OH

Święta o krok, więc grzechem byłoby nie zahaczyć o temat świąteczny. Mamy już choinkę, bombki (niektórzy nawet jądrowe), kupiliśmy prezenty dla najbliższych, karp penetruje rażno wnętrze wanny, zaczyna nas ogarniać szal zakupów i nie pamiętamy, że i tak wszystko zacznie się i skończy przy stole (dla niektórych nawet pod nim). Na ten radosny okres Polacy zdradzą nawet swoją największą ostatnio miłość - telewizję. A skoro już wspomniałem stół, to zatrzymajmy się na chwilę nad tym co na stole.

Czy zauważyliście Państwo, że pijaństwo to czynność na wskroś metafizyczna? Picie alkoholu to szamańskie misterium posiadające swoją obrzędowość, rytuały (nie nalewać przez rękę, „karniak”), guślarza (polewający), zaklęcia (toasty). Szczególną moc, tak jak w pierwotnych plemionach, mają obrzędy sprawowane wyłącznie w męskim gronie. W trakcie misterium wyzwalają się potężne moce nadprzyrodzone, które potrafią doprowadzić do przeistoczenia się osobowości uczestniczącego w rytuale: ponuraka w duszę towarzystwa, nieśmiałego w przebojowego, mruka w gadułę, nieporadnego w stosunkach damsko-męskich w Casanovę.

Nigdzie indziej (poza Rosją) pijackie doświadczenie nie cieszy się tak szczególną estymą. Wiedza o tym jak pić, by wypić jak najwięcej i na pijanego wyglądać jak najmniej jest w kraju Polan bardzo pożądana i w życiu codziennym niezwykle pomocna. O sztukę picia, tzw. „mocną głowę”, pytają np. przy rekrutacji do służb specjalnych. W służbach niespecjalnych - policji, o ile mi wiadomo, także za kołnierz się nie wylewa, a magiczna moc tego picia jest szczególna z racji dużej maskulinizacji tej profesji. W ten oto sposób jawi się Polska krajem wyjątkowym, zamieszkałym bowiem przez czarowników i artystów (ci, jak wiadomo, mało nie mogą), którzy połowę życia spędzają w odmiennych stanach świadomości, prowadzeni jak Indianie w transie przez swego ducha-przewodnika. Powszechny szacunek, jakim czarownicy cieszą się w każdej społeczności, dotyka również naszych szamanów, którzy na wiele mogą sobie pozwolić, a tłumaczenie: „byłem wtedy pijany” (pomroczość jasna) wyjaśnia większość zdarzeń i w opinii znacznej części społeczeństwa rozgrzesza z popełnianych wykroczeń.

Wspólna wyprawa na „tamtą stronę psychiki” jest oznaką braterstwa krwi i wyznacznikiem stopnia akceptacji. Moc tajemna tkwiąca w rytuale picia wykorzystywana jest do ucieczek od problemów dnia codziennego, do

zagłuszenia psychiki, sumienia. Znają ją również nasi wrogowie, którzy wielokroć w historii próbowali przy pomocy tych czarów wyeliminować Polaków fizycznie. Wiadomo bowiem powszechnie, że człowiek używający magii zbyt często degeneruje się fizycznie i staje się łatwym łupem dla przeciwnika. Nas jednak ratuje czarodziejskie doświadczenie, bo częsta styczność z magią wielu z nas uodporniła na działanie słabszych czarów, zwłaszcza tych rzucanych przez ludy Zachodu, które słusznie uważamy za czarowników słabych i na naszą magię zupełnie nieodpornych.

Wytrawni polscy alchemicy nieustannie pracują nad znalezieniem kamienia filozoficznego, który umożliwiłby prostą transformację H_2O w C_2H_5OH . Ściśle w tym dziele współpracują z potężnymi czarnoksiężnikami Wschodu, wytrawnymi magami niedościgłymi nawet dla nas w swej profesji. Kupieckie karawany, mimo kordonu legionistów Cesarstwa czuwającego nad wschodnim limesem, nieustannie ściągają zza rzeki Bug hektolitry substancji umożliwiającej naszym gandalfom trwanie w ekstatycznym autouroku. Rodzime bowiem księgi czarów są w cenie nie równoważącej ich rzeczywistej wartości.



Wiemy więc, dlaczego mówi się, że w zimowych świątach w Polsce tkwi magiczna moc. Ileż to przeróżnych zaklęć i w tym roku padnie u nas w ciągu trzech świątecznych dni (niektórzy zaczynają intonować zaklęcia już w Wigilię), iluż ludzi popłynie na skrzydłach swych opiekuńczych duchów ku krainie szczęśliwości, ilu doświadczy tak pożądanых wizji, które choć na chwilę upiększą ich życie i sprawią, że Polska stanie się Arkadią.

Wy zaś, nieszczęśni mugole, którzy zatwardzale opieracie się magii i ciemnogrodzko nie wierzycie w czary sami pozbawiając się łask z nich płynących, przynajmniej nie przeszkadzajcie innym. Natomiast przy spotkaniu z szamanem pozostającym pod wpływem czarów opartych na magii wody, zaakceptujcie jego wybór. Jeśli macie sąsiada czarownika, odwiedźcie go. Niech nikt w tych dniach nie rzuca czarów samotnie. Bądźmy społeczeństwem szamańsko otwartym, wolnym od przesądów rasowych. Nie ulegajmy szowinistycznym utłodom, że Żydzi i masoni czarują tylko we własnym gronie, a Murzyni mają najdłuższe różdżki. Wszak świat jest tylko jedną globalną Łysą Górą. Carpe diem, trwaj w orgii nieustannego sabatu. No future!

(W tym miejscu autor wychodzi do łazienki, żeby odreagować nieudaną próbę traw - fani Sapkowskiego będą wiedzieli o co chodzi)

grudzień 2001

Dziadek

Siarczysty mróz, którego nie wpuściliśmy do środka, mścił się za oknem na bezbronnych, pozbawionych liści, drzewach. Przez dubeltowe okna nie był go w stanie teleportować do domu nawet porywisty wiatr. Pod kominem ogień huczał rażno i dawał życiodajne ciepło, tak potrzebne tego grudniowego wieczoru. Przy zgaszonym świetle widać było jego blask pełzający po ścianach nawet tu, w alkierzu, do którego wpadał przez uchylone drzwi. Chwilę rywalizował o moje względy z włączonym telewizorem, ale ja, leżąc wygodnie na kanapie, nie patrzyłem na ekran. Po drugiej stronie izby, przy piecu, bardzo blisko odbiornika telewizyjnego siedział na stołku dziadek Marian. Wpatrywał się w ekran, a wzorzyste barwy obrazu igrały na jego twarzy. Program był muzyczny w najgorszym tego słowa znaczeniu, czyli jakiś nachalny pop okraszony amoralnym teledyskiem. Dziadek wpatrywał się weń szeroko otwartymi oczami, a na jego twarzy widziałem szczere zaciekawienie połączone z niedowierzaniem. Ja wpatrywałem się w niego i tak sobie myślałem: oto człowiek ponad siedemdziesięcioletni, innej daty, moralności, tradycjonalista, spośród masmediów rozumiejący już chyba tylko przekaz Radia Maryja. Człowiek pamiętający śmierć Piłsudskiego i Dmowskiego, pierwsze dni telewizji, będący świadkiem jej wstępu i współczesnego totalnego upadku. Cóż on musi czuć widząc te półnagie nieskromne panienki wykonujące quasi-kopulacyjne ruchy imitujące taniec?

Wpatrywałem się weń zafascynowany, a on wpatrywał się w ekran. Nic nie mówił, nie rozrywał szat, nie narzekał na upadek obyczajów. Początkowo przyszło mi nawet do głowy, że w ogóle nie zdaje sobie sprawy, co się na tym ekranie dzieje. Ale wiedział doskonale. Wiedział i patrzył, i nic nie mówił.

Potem spojrzał na mnie... Nie zapomnę tego wzroku. To było gorsze od najbardziej sugestywnych wyrzutów. I wtedy poczułem się za to odpowiedzialny. Ja, który od lat walczę (w swoim przekonaniu) z tym odmóżdżaniem polskich głów! Poczułem się odpowiedzialny za KRRiT, za te obsceniczne "artystki", za rady programowe, speców, prezenterów, cały cholerny „szolbiznes”.

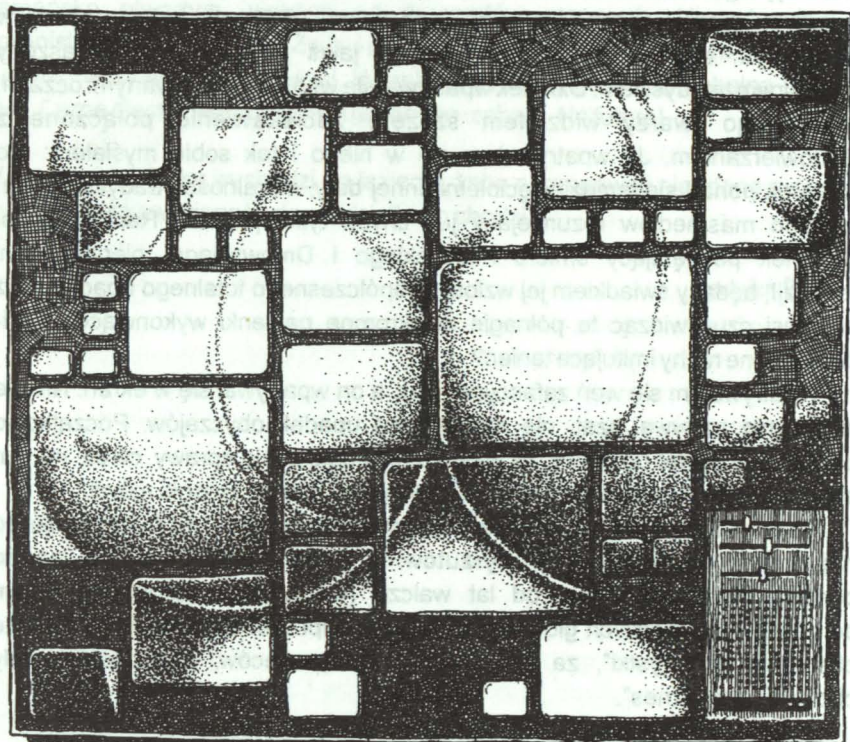
„Dlaczego?!” chciałem krzyknąć „To przecież nie moja wina!”

Ale nie krzyknąłem. W rękę zaciążył mi pilot. Nie kto inny wszak, lecz ja sam skacząc po kanałach zatrzymałem się na tym właśnie programie, wlepiając pusto wzrok w pośladki i biusty drgające w wyuzdanych pozach w takt

bezwartościowej i bezdusznej muzyki.

Przełączyłem program na jego ulubiony teleturniej. Wolno, bez pośpiechu, z godnością, udając że nie wiem o co chodzi. Jak zawsze. Jak tysiące innych. Czy kiedyś zdobędziemy się na coś więcej?

styczeń 2002



Fremo

Nasze ulice - wasze ulice

Jak to zwykle w zimie bywa temat ulic naszego małego gródka wybija się ponad wszystkie inne. A w ogóle to nawet nie o zimę tu chodzi, ale właśnie o te nieszczęsne ulice. Nie dziwota, temat to dotyczący wszystkich, a - co zawsze stwierdzam siedząc za kierownicą - Radzyń to miasto dosyć bogate w pojazdy.

Jednym z mankamentów przemian samorządowych stało się w Polsce rozdzielenie ulic w mieście na 4 rodzaje: osiedlowe, miejskie, powiatowe i wojewódzkie. Jednak przeciętnego kierowcę (i pieszego) mało obchodzi czyją winą jest nieodśnieżona droga, choć powinno, przynajmniej po to, by posłać go do wszystkich diabłów. Z czego jednak bierze się problem odśnieżania, bo nie chce się wierzyć, że ze złej woli właściciela drogi? Nie chodzi chyba także o brak chęci na koordynację działań. Na ten temat odpowiada mi się w Urzędzie Miejskim, że chcieli, ale na przeszkodzie stoi brak środków drugiej strony, co w efekcie przynosiłoby im (i przynosi, bo wynajęty przez miasto pług dojeżdżając do ulicy powiatowej nie podnosi przecież szufli, lecz odśnieża dalej) straty. Pytają po co to im potrzebne. Słusznie. A więc chodzi - i tu niespodzianka - o pieniądze. Otóż nie każdego stać na utrzymanie swojej własnej ulicy w należytym stanie.

W tym miejscu przypomina mi się jeden z odcinków dobranocki o słodkiej Madeline (efekt osobistej polityki prorodzinnej). Podczas pobytu francuskich dziewczynek z paryskiego pensjonatu w Nowym Jorku pewien milioner tak zachwycił się małą Madeline, że podarował jej Most Brookliński. No i zaczęło się. Dziewczynka stała przy telefonie i słuchała: a to że dziura w jezdni, a to że korek, a to znowu że brudno itp. Prezent okazał się bardziej kłopotliwy niż pożyteczny.

Wydaje się, iż niektórzy nasi właściciele ulic to takie dziewczynki przygniecione zbyt kłopotliwym prezentem państwa. Jak jednak rozwiązać problem? Nie zmusimy przecież ludzi, by zapamiętali, która ulica jest czyją własnością i tam tylko i wyłącznie kierowali swoje pretensje. Urzędnicy miejscy skarżą się zaś, że ciągle czują ciężar obelg spadających na nich za niezasłużone winy.

Przejęty ich tragiczną sytuacją wnoszę swój racjonalizatorski pomysł: należy obok tabliczek z nazwami ulic przyśrubować inne z określeniem administratora drogi. I tak wychodząc z głównej bramy placu kościoła pw. Św. Trójcy i kierując się w stronę osiedla Zabielska moglibyśmy odczytywać kolejno:

ul. Warszawska - powiatowa, ul. Chomiczewskiego - miejska, ul. Cicha - miejska itd. Grzęźniemy w śniegu, szybkie spojrzenie na pobliski mur: „miejaska”, doskonale, wystosowujemy pretensje do burmistrza. Poślizgnęliśmy się na chodniku, cholera, noga boli jak sto diabłów. Zerkamy na tabliczkę: „powiatowa”, oj starosta poczyta, co o nim myślimy. Nie sposób wyjechać rano z parkingu przed blokiem, bo śnieg na drodze sięga klamki w drzwiach samochodu, rozglądamy się: „osiedlowa”. Pióro kreśli adres Spółdzielni Mieszkaniowej na kopercie. I życie staje się prostsze. Urzędnicy są zadowoleni, bo nie cierpią za cudze grzechy tylko za swoje.

Lecz czy poprawia to w czymkolwiek sytuację mieszkańców Radzyna?

Nie, bo nie chodzi nam o to, by wiedzieć czyją jest winą nieodśnieżona droga, ale żeby zawsze była odśnieżona i posypana. Dlatego, jak to pesymista, nie widzę szans na sanację w najbliższym czasie.

A jak rozwiązano problem Madeline w dobranocce? Otóż dziewczynka podarowała most burmistrzowi NY, co było logiczne i na pewno użytkownicy na tym skorzystali. Proste, lecz niestety jest jedno ale, które można by zawrzeć w stwierdzeniu: życie to nie bajka. Niestety.

styczeń 2002



Ludzkość, czyli tam i z powrotem

Czy słyszeliście Państwo o teorii walki ras Ludwika Gumplowicza? Otóż profesor ów, Polak (choć z rodziny polsko-żydowskiej), ojciec socjologii... niemieckiej (bo na Uniwersytecie Jagiellońskim uważano, że „nie dawał gwarancji obiektywnego badania naukowego”) w końcu XIX wieku stworzył teorię, wedle której rozwój społeczny możliwy jest tylko przy okazji konfliktu obcych sobie ras. Czujnych „antyfaszystów” rozczaruję, nie można zaliczyć naukowca do grona dziewiętnastowiecznych teoretyków rasizmu (czyli rasistów), bo jego wykładnia „rasy”, o dziwo, nie dotyczyła cech antropologicznych ludzi. W pracy „Der Rassenkampf” (1882 r.) Gumplowicz pisał: „Rasa nie jest i nie może być ujmowana jedynie jako pojęcie przyrodnicze w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jest ona coraz bardziej pojęciem historycznym. Rasa to nie jest produkt procesu naturalnego w dotychczasowym rozumieniu, ale wytwór procesu historycznego, który jest ostatecznie także procesem naturalnym. Rasa jest to wspólnota wytworzona w historycznym rozwoju społecznym, wspólnota, która ma swój początek w momentach duchowych (język, religia, obyczaj, prawo, kultura); dopiero od tych duchowych momentów zaczyna się kształtować prawdziwa więź, która staje się jednością krwi”.

Opierając się na ustaleniach Gumplowicza możemy wysnuć oczywisty wniosek, że rozwój społeczności ludzkich (Gumplowiczowskich ras) to nieustanny wzrost od grup pierwotnych (horda) do tworu najwyższego rozwojowo - narodu. Jest to nieustanna ewolucja, proces progresywny. Nieprzerwana rewolucja światowa, w której przyszło nam żyć (zauważmy, że we współczesnym świecie wyeliminowano właściwie ewolucję), ta sama, która na Zachodzie prowadziła królów na szafot, zaś na Wschodzie odwracała biegi rzek, nie tylko zachwiała równowagę w przyrodzie, ale również w socjologii. Totalne odżegnywanie się od idei narodu i inżynieria społeczna w postaci próby łączenia w jedno tego, co nie jest możliwe do połączenia, sprawiła, że również rozwój społeczności ludzkich odnotowuje groźny regres. Narody rozpadają się z powrotem na mniejsze grupy nieuchronną drogą ku hordom. Członek Rady Programowej „Myśli Polskiej” Lech Jęczynek w prześwietnym cyklu 'Nowe Średniowiecze' ukazującym się w „Nowej Fantastyce”, nakreślił taki oto obraz realizującej się już dziś przyszłości, który jest całkowicie paralelny z naszym zagadnieniem rozkładu narodu i cofania się społeczności ludzkiej krajów

rozwiniętych ku formom pierwotnym. Ten „nowy wspaniały świat” to (by pozostać przy znanych z historii przykładach): zamek z dworem i służbą, miasto, podgrodzie i hołota żebraczo-przestępcza. Właściciele zamku to oligarchia finansowa, „ściśle zamknięta grupa licząca co najwyżej kilkaset rodzin w skali światowej, składająca się z rodów królewskich, starej arystokracji i żydowskich na ogół bankierów. Z Polski nikt się do tej grupy nie kwalifikuje”. Reszta mieszkańców zamku to mrowie służby („nadworni fryzjerzy i filozofowie, muzycy, lekarze i chirurdzy plastyczni, specjaliści od mody, dykcji i protokołu dyplomatycznego”), gdzie posady są zwykle dziedziczne, aczkolwiek „może się tu przebić beczelny szarlatan, astrolog, uzdrowiciel, wynalazca nowej metody odchudzania”. Z Polski do takich lokajów, zastępujących pozostałych w cieniu oligarchów, Jęczyk zalicza np. Olechowskiego, Balcerowicza, Gronkiewicz-Waltz.

Mieszkańcami miasta są ludzie zapewniający funkcjonowanie infrastruktury, czyli „producenci dóbr luksusowych dla zamku i tańszych imitacji dla mieszczan, budowniczowie, oficerowie wojska i policji, dyspozycyjni sędziowie i prokuratorzy”. Słowem ludzie, których dopuszczono do pewnego stopnia dobrobytu, ale na tyle niepewni jutra, by nie poczuli się zbyt niezależni.

Podgrodzie zamieszkują ludzie, którzy tolerowani są w mieście tylko za dnia, na noc wypędza się ich poza mury. „Wywożą nieczystości, kopią rowy, trudnią się półlegalnym handlem”. Żyją poza opiekuńczymi skrzydłami zamku i posiadają własną policję i sądy w postaci gangów.

Ludzie z oddalonych od zamku i miasta osad dziczej, stają się smolarzami, rolnicy pozbawieni roli zasilają podgrodzie i żebraczą hołotę oraz zajmują się zbieractwem (jagody, grzyby) i kłusownictwem.

Lech Jęczyk zwraca również uwagę na coraz bardziej przydatne, odgrywające ważną rolę w społecznościach pierwotnych, warunki fizyczne ludzi, które mężczyznom z niższych warstw zapewniają pozycję w resortach siłowych i grupach przestępczych, a kobietom jedyną szansę awansu przez łóżko (L. Jęczyk, *Strategia przetrwania*, „Nowa Fantastyka” 1999, nr 12, s. 75). Już od siebie wskazałbym ponadto symptomy powrotu do nomadyzmu, czyli zmuszanie do nieustannych wędrówek za pracą, które już dawno przekroczyły granice państw.

Zastanawia również rosnące uniezależnianie się kobiet, mylone przez „męskich szowinistów” z groźbą powrotu do matriarchatu. Pozycję kobiety w społecznościach pierwotnych widział prof. Gumpłowicz w ich niezaprzeczalnym wpływie na dzieci, co brało się z braku monogamii (dziś nazywa się to wyzwoleniem kobiety, emancypacją). Owa pierwotna „wolna miłość”

powodowała, że nie można było stwierdzić czyje jest potomstwo, poza tym, że jest dzieckiem swej matki. Symptomy powrotu do tej formy życia społecznego widać gołym okiem. Rozdrobnienie grup społecznych, samotność jednostek w tłumie ludzi, dwuosobowe rodziny, brak więzi. Najgorsze, że wszystko to nie jest procesem naturalnym, lecz wymuszonym propagandą, tzw. modą, brakiem mieszkań, pracy etc. Dziś rodzina dwupokoleniowa budzi zdziwienie („I nie klóćcie się?”) na równi z wielodzietną (2-3 dzieci).

Cóż możemy na to poradzić? Najważniejsze to nie dać się przekonać, że normalne jest nienormalnym. Nie można też wkroczyć na drogę nieprzemyślanej kontestacji. Brudny Harry mawiał: „Nienawidzę Systemu, ale dopóki ktoś nie zaproponuje sensownych zmian będę przestrzegał prawa” („Siła magnum”). A sensowne zmiany są na wyciągnięcie ręki, wystarczy tylko chcieć po nie sięgnąć.

luty 2002

Smutny koniec maga Mengellusa

Nie mam specjalnych kompleksów związanych z upływem czasu (ot, codzienna kilkugodzinna histeria przed lustrem). A jednak zagadnienie upartej pogoni czasu nie daje o sobie zapomnieć. Czy otwierają się nam zwłaszcza wtedy, gdy widzimy tego następstwa na twarzach i w postępowaniu innych ludzi. Co jest gorsze, rozkład fizyczny czy spustoszenia psychiczne? W epoce końca nawet dla mnie, konserwatysty, jest coś diabelnie kuszącego. Świadomość końca czegoś jednocześnie ekscytuje i obezwładnia. Podobnie jest, gdy stajemy się świadkami całkowitego upadku osoby, która jeszcze nie tak dawno „coś” reprezentowała. Upadek zaś jest najpoważniejszy wówczas, gdy złoży się nań wielorakość czynników takich jak, powiedzmy: zamiłowanie do mentorstwa, praktyka przewodzenia administracyjnego, przemądrzałość i pewność własnych racji, brak zdolności dostrzegania zmian i przemożna chęć pozostania na powierzchni. Ze dwa metry wyżej niż inni.

Taka osoba przypomina mi bohatera ze świata fantasy - maga Mengellusa. Będąc czarodziejem i „prawie członkiem” władz Gildii Magów (coś tam nie wyszło, czegoś zabrakło, a może rzyć za miękka a kark za twardy) w głuszy Chlewigrodu stał się przysłowiowym bogiem i królem dla okolicznych smolarzy, kupców, bakałarzy, służebnych dziewczek, a nawet cesarskich starostów, choć wiadomo, że administracja cesarska niechętnie patrzyła na magów nie zrzeszonych w podległej władzy Gildii. Mengellus skutecznie lawirował między nimi wszystkimi, a że podstawy magii miał opanowane, jego różdżka przez długie lata robiła wrażenie na okolicznej ludności lecząc prosiaki ze sraczki, odstraszać zmyły od stajni, zwiększając potencję mężczyznom, a kobietom wzmacniając orgazm. To, że mieszkał w wysokiej kamiennej wieży górującej nad osadą, izolowało go od błota, w którym nurzali się zwykli śmiertelnicy. I tak trwało to i trwało, ludzie przychodzili i odchodzili, a czarownik Mengellus co rano wychodził ze swej wieży i fechtując różdżką z wyimaginowanym przeciwnikiem obchodził swoje włości. Z tym zagadał, tamtego zgromił wzrokiem, innemu skinął głową. Potem wracał i rzucał swoje pożyteczne przecieże zaklęcia.

Ale ten czas! Czas jest nieubłagany nawet dla magów. Tym bardziej, że świat wokół zmieniał się również. Cesarstwo runęło. Prowincjonaliowie cesarscy opuścili swe mroczne zamki, a ich miejsce zajęli wójtowie wybrani spośród miejscowej ludności. Dawny autorytet Mengellusa upadł jak kamień wrzucony do fosy chlewigrodzkiego zamku. Głośne plum i nic, poza powiększającymi się

okularami zdziwienia na wodzie. I tylko samotna wieża dalej górowała nad przypadłymi do błota chatami Chlewigrodu. Sam Mengellus rzadziej wychodził już ze swej kamiennej przystani. Sraczkę prosił przeganiali przygodni szarlatani, zmory wyniosły się odkąd ludzie obrazili je przestając w nie wierzyć, a ulubieńcami kochanków stali się zamorscy kupcy, którzy na swych pełnych cudeniek wozach mieli takie rzeczy przydatne w sztuce miłosnej, o których nie śniło się nawet różdżce chlewigrodzkiego maga.

Najgorsze było jednak to, że Gildia Magów, uwolniona spod zależności tyrańskiej władzy cesarza, szeroko otworzyła swe podwoje dla adeptów sztuki magicznej, którzy po ukończeniu edukacji ruszyli w świat. Docierali nawet na kraniec świata, gdzieś na sam skraj, za którym już tylko otchłań nicości. Nie dziwota więc, że musieli trafić również do Chlewigrodu, skąd do przepaści końca świata był przecież jeszcze kawał drogi.

Mengellusa, który wiedział o ich zbliżaniu się z czarodziejskiej kuli, tknęło złe przeczucie już wówczas, gdy przybyszy nie zatrzymały po drodze niespodzianki, jakie im posyłał: a to wody rzek wychodziły niespodziewanie ze swych koryt, a to spadały na nich nagle roje wściekłych os, a to gorzałka wywoływała dyzenterię etc. etc. Nie mylił się. Młokosów przyjęto w Chlewigrodzie jak swoich, a co gorsza wójt zaproponował im zamieszkanie w kamiennej wieży. JEGO WIEŻY!!! Mengellus obraził się i zabarykadował w swej kamiennej przystani.

Dni mijały. Nawet czarodziej nie może jednak zbyt długo żyć tylko powietrzem, ale dla starego maga nie to było najgorsze. Niczym pchła w portkach nurtowało go coś stokroć gorszego, to mianowicie, że nikt już nie czekał na jego zaklęcia. A te, które rzucał, choć pożyteczne, jak rozganianie mgły znad gościńca, odstraszenie wróbli z zasianych świeżo pól czy usuwanie gzów ze skóry bydła były przez ludność Chlewigrodu ignorowane. To bolało najbardziej. To i szacunek budowany przez młokosów w spiczastych czapkach, jakże daleko im do niego!, na jego, Mengellusa, krzywdzie.

Bardowie śpiewają, że właśnie to (choć ja myślę, że cały ciąg przyczyn) spowodowało, iż w siwej głowie Mengellusa narodził się podły plan pogwałcenia osób, których obarczał winą za swoje „siedem chudych lat”. Udając, że zgadza się wreszcie na długo oczekiwany kompromis „dla dobra Chlewigrodu”, umówił się wreszcie na pojednawcze spotkanie. Czas oczekiwania na nie spędził jednak na studiowaniu księgi czarów, co na pewno wzbudziłoby podejrzenia, gdyby ktokolwiek zajrzał wówczas do kamiennej wieży maga. Nikt tego jednak nie uczynił.

Gdy nadszedł wreszcie ów dzień, Mengellus grzecznie podszedł do owych

młodych czarowników i na powitanie rzucił na nich zaklęcie mające zmienić ich twarze w świńskie ryje. Kalkulował słusznie, jaki bowiem czarodziej może cieszyć się szacunkiem, jeśli na karku będzie nosił świńską głowę? Żaden, nawet najlepszy. Jednakże podłość, którą się wykazał (czar działał tylko wówczas, jeśli intonowało się go oko w oko z przyszłą ofiarą) stała się przyczyną jego smutnego końca. Otóż Mengellus nie wiedział, że już od lat Gildia Magów uodporniała swych adeptów na niespodzianki tego typu. Czar starego czarodzieja został, odbił się od jego przeciwników niczym od zwierciadła i powrócił do niego. Byłby nawet o tym nie wiedział, ot zaklęcie nie podziałało, ale fala uderzeniowa pchnęła go do tyłu, a gawiedź chlewigrodzka ryknęła śmiechem pokazując go sobie brudnymi paluchami. Mengellus odwrócił się na pięcie i pomknął do swej wieży goniony tym lepiącym się do jego pleców śmiechem. Zaś w karczmach Chlewigrodu długo jeszcze rozprawiano o tym zdarzeniu przy piwie, bez czci naigrywając się z upadku starego maga i prosić końcu jego kariery.

Ot, życie. Kończy się coś... kończy się coś... kończy się... kończy... coś...



luty 2002

Kipiel

Podejrzewam, że w głębi serca decyzję o terminowych, jesiennych wyborach do samorządu większość (nawet ci z lewej strony sceny politycznej) przyjęła z ulgą. To bowiem tak, jakby żołnierzy gotowych do natarcia skierować z powrotem do koszar i powiedzieć im, że ofensywa jednak dopiero za tydzień. Wybory, sedno demokracji, to męka i dla budżetu państwa, i dla psychiki rzeszy ludzi z losem tych wyborów związanych. To również brutalna walka. Tutaj nie ma dwóch przeciwników, wybory to bitwa trzech, czterech, pięciu i więcej stron, gdzie nie ma wrogów i sprzymierzeńców, gdzie „ten kto nie z nami, ten przeciwko nam”, gdzie dotychczasowe sympatie i przyjaźnie giną na iście barbarzyńskiej arenie współczesnego Koloseum. Po wyborach świat lokalny nie jest już taki jaki był dotychczas, stare stosunki idą w niepamięć, ludzie kierują swą interesowną uniżoność ku innym obiektom, a na pogorzelisku, oprócz powyborczej makulatury, pozostaje wrogość, zawiedzione oczekiwania, niesmak. Wybory to taki mały WTC w każdej gminie, psychiczny atak terrorystyczny, do którego samorządowi fundamentaliści przygotowują się co najmniej dwa lata, by dać wyraz swej racji nawet za cenę życia (publicznego).

Czyż nie byłoby społecznie zdrowiej, gdyby demokracja (jeśli już naprawdę musi istnieć) funkcjonowała na sposób mechaniczny? My, oni, tamci; wygrywamy, przegrywamy; współrzędzimy, współopozycjonujemy; ci sami ludzie na tych samych pozycjach; porażka wyborcza nie jest społeczną i indywidualną klęską żywiołową; wygrywają lepsi. To sztuczne, mechaniczne, bezrozumne, nieludzkie, ale zdrowsze. To obraz tzw. dobrej demokracji, która... nie istnieje. Zawsze bowiem w tym teoretycznie idealnym mechanizmie nie zdaje egzaminu jakaś uszczelka, czynnik ludzki, niewytrzymały, podatny na przekupstwa, obietnice, gotowy inwestować w szarlatanów i ich próby wyhodowania gruszek na wierzbie, o ile tylko obieca się mu zysk ze zbiorów. Tu nie ma już miejsca na wycofanie się z raz zajętych placówek. Górę bierze homo politicus, który zniewala psychikę ludzką niczym Obcy w słynnej powieści Heinleina sprzed półwiecza. Deprawuje ją tym bardziej im jest ona młodsza, a tym samym bardziej podatna. Wówczas każda, najdrobniejsza decyzja jest decyzją polityczną, a homo politicus, choć odporny na większość ludzkich odruchów, animalistycznie przez skórę wyczuwa niepewność straty, którą płynie. Na rok przed wyborczą zmianą warty zaczyna miotać się po niej jak tygrys po klatce, hardziej w stosunku do swych dotychczasowych towarzyszy

podróży, pomrukuje przymilnie do załóg tratw płynących już nie z tyłu, już coraz bliżej, by w końcu przeskoczyć na którąś z nich zgrabnym susem. Poczucie honoru i godności umysłów „braci mniejszych” (jak modernisci określają zwierzęta) nie zaprzęta. Bardziej wyraziście niż ludzie AWS-u przed wyborami parlamentarnymi w 2001 roku nikt tego dotychczas nie pokazał. Ale poczekajmy, w dzisiejszym sporcie rekordy nie utrzymują się długo. Przykład zaś idzie z góry...

Dlatego nie cierpię wyborów i dlatego... rozumiem ich pragnienie u innych. Jest w wyborach coś z chorej nostalgii za rewolucją, do której w gotowości stoi już zastęp jakobinów z gabinetem cieni w zanadru, przygotowanych na to, by na skinienie uruchomić gilotynę i tyranie innych zastąpić swoją tyranią. Na rok, dwa zapomną o tym, że rewolucja pożera własne dzieci, a wyborcza gilotyna na cztery lata spocznie gdzieś w piwnicy, obok urny wyborczej z wyobrażeniem Białego Orła. Tak ideę pokrywa kurz politykierstwa, który wszak łatwo zdmuchnąć na chwilę dla dodania ekspresji powtarzanym po stokroć sloganom. I to jednak coraz rzadziej, bo ideowo nastawionych wyborców jest coraz mniej, a dydaktyka globalnego régime'u nie ustaje w wysiłkach nad całkowitym jej wyeliminowaniem. Bo idea jest krnąbrna. Bez niej już jedynie ekonomiczny samoobronny odruch indyferentnych politycznie przeciwko dodupizmowi codziennej egzystencji potrafi wstrząsnąć nieco politycznym establishmentem. Z tego zaś również, jako objawu fermentu rewolucyjnego, cieszyć się nie ma co.

Ale w tym rozumowaniu establishmentu tkwi błąd. Idei nie można wyeliminować najsroźszą i najdłuższą nawet dyktaturą, jakkolwiek by jej nie zwał. Zawsze gdzieś przetrwa, przeczeka, by z nagłą eksplodować i skierować życie społeczne na prostą drogę Bożego ładu, z której beztroski i błędzący człowiek nieustannie skręca. I może wcześniej niż sądzimy dziecko, mały Polak, na widok tego zakurzonego Białego Orła wyciąganego z piwnicy wraz z urną co cztery lata, wyszepcze drżącym głosem znany kiedyś wierszyk Bełzy zaczynający się od słów: „Kto ty jesteś? Polak mały...”. Idea zatryumfuje, a brud politykierstwa obmyją łzy wzruszenia.

marzec 2002

"Księża - patrioci"

Koła historii są w ciągłym ruchu. To obracają się wolno, ślamazarnie, ledwie zauważalnie, to znów szybko bez opamiętania, a wszystko na ogólnych zasadach upływu czasu. Wcześniej lub później, nadchodzi jednak ta chwila, gdy koło zrobi pełny obrót i ponownie (jak moda na mini) wracają sytuacje znane z przeszłości. Na przykład obecnie odnotowujemy powrót „księży - patriotów”.

Formacja to znana Kościołowi katolickiemu od wieków, od kiedy Przeciwnik wpadł na to, by walkę z jego ziemskimi strukturami prowadzić również od wewnątrz, poprzez poróżnienie funkcjonariuszy Kościoła, ogłupienie naiwnych i przeciągnięcie ich (światomie bądź nie) na swoją stronę niechlubną drogą Judasza Iskarioty. To właśnie ks. Gabriel Amorth, egzorcysta diecezji rzymskiej, nazywa swędem Szatana: „Wszędzie przenika swąd Szatana. [...] Nie ma żadnej wątpliwości co do faktu, że demon kusi przede wszystkim autorytety Kościoła” (Swąd Szatana w domu Pańskim, „Christianitas” Nr 10). Zorganizowana akcja formowania takiej grupy nastąpiła po raz pierwszy w tragicznej chwili krwawej rewolucji francuskiej, kiedy to postanowiono zniszczyć tradycyjny porządek społeczny (ten cel stworzenie nowego, „lepszego” świata jest zwykle syndromem zapowiadającym kolejną próbę dokonania rozłamu wśród hierarchów Kościoła i pojawienia się duchownych powolnych politycznemu systemowi dokonującemu operacji inżynieryjnych na ciele społeczeństwa). Jesienią 1790 roku rewolucyjna Konstytuanta francuska postanowiła, że biskupi, proboszczowie i inni funkcjonariusze kościelni mają obowiązek złożenia przysięgi posłuszeństwa państwu. Kolejnym krokiem był zakaz wykonywania kultu przez tych, którzy tego nie uczynią. To był wstęp do makabrycznych wydarzeń, które rozpoczną się wczesną jesienią 1792 roku: planowego profanowania świątyń, niszczenia rzeźb i obrazów, zmuszania duchownych do wyrzekania się wiary chrześcijańskiej, uroczystości ku czci Rozumu. To wówczas zniszczono również grobowce królów francuskich, jako relikty „epoki barbarzyństwa”. Czyż nie tak, o ironio!, nazywa się i dzisiaj czasy sprzed dyktatury demoliberalizmu, gdy w majestacie prawa nie praktykowano zabójstw nienarodzonych, starych i nieuleczalnie chorych, nie zezwalano na publiczną pornografię, nie tolerowano praktyk zboczeńców i powszechnej deprawacji?

W Polsce casus „księży patriotów” próbowała wykorzystać władza komunistyczna. W exposé sejmowym w styczniu 1949 roku na fali zaostreżenia

kursu w walce z Kościołem katolickim premier Cyrankiewicz stwierdził kategorycznie, że Kościół musi być posłuszny władzy komunistycznej, inne postawy nie będą tolerowane. To wówczas stwierdził również: „Rząd będzie natomiast otaczał opieką tych kapłanów, którzy dali i dają dowody swego patriotyzmu”. Określenie „księża patrioci” weszło do słownika Polski Ludowej, niestety zaistniało również fizycznie. We wrześniu tego samego roku grupa błądzących duchownych utworzyła Komisję Księży przy ZBOWID. Metody werbunku do szeregów „księży patriotów” były przeróżne, od wyszukiwania duchownych skonfliktowanych z biskupami, poprzez aranżowanie sytuacji moralnie niepewnych, aż po obiecywanie pomocy w codziennej egzystencji (choćaby przydział materiałów budowlanych na remont świątyni, trudnodostępnych w rzeczywistości gospodarczej PRL-u).

Przedstawiciele współczesnego wszechsystemu nie kryją źródeł swych inspiracji, są nimi idee rewolucji francuskiej. Nie rezygnują również z wypróbowanych wcześniej metod postępowania. I znowu, po opanowaniu wszystkich przyczółków, postanawiają zniszczyć ostatni bastion oporu - Kościół katolicki. I znowu niepoślednią rolę mają w tym procesie do odegrania „księża - patrioci”. Czy ich znamy? Aż za dobrze. To oni są ulubieńcami regime'owych masmediów, gwiazdami w świetle jupiterów i na pierwszych stronach poczytnych gazet komentującymi bieżące wydarzenia społeczno-polityczne. Oni również służą do napędzania maszyny rewolucji w Kościele, przeciwstawiania Kościoła tradycyjnego „otwartemu”, tj. nowoczesnemu, i piętnowania „barbarzyńskiej” epoki sprzed wszechwładzy ustroju demokratyczno-liberalnego. Ciągłe działa chyba również dyrektywa Cyrankiewicza sprzed półwiecza, bo otaczani są szczególną opieką nawet przez ekipę rządzących obecnie ateistów. To dzięki nim, lansowanym bez opamiętania, mamy odnieść wrażenie nędzy naszych przekonań i beznadziejności w obliczu potęgi adwersarzy.

Jednakże owe powerplaye w sutannach stanowią broń obosieczną, bowiem przewijanie się przez środki masowego przekazu ciągle tych samych twarzy może stanowić dowód na ich wyobcowanie w środowisku funkcjonariuszy Kościoła. A choćby i zdawało się, że jest inaczej, choćby i było inaczej i byłibyśmy niczym kontrrewolucjoniści Krasieńskiego oblężeni w okopach Świętej Trójcy, mamy zapewnienie od samego Boga, że Kościoła zbudowanego na Skale, Kościoła Powszechnego, czyli katolickiego, piekielne siły nie przemogą. Choćby nie wiem jak „patriotyczne”.

Sen politycznie poprawny

"TV Radzyń to wyzwanie nie tylko organizacyjne, ale przede wszystkim mentalne. To przełamanie tradycyjnych barier, które nie pozwalały nam na pełną realizację idei dołączenia do nowoczesnego świata, w którym berlińczyk nie różni się od radzynianina i nowojorczyka".

*Z przemówienia burmistrza Radzyna
wygłoszonego podczas uroczystego otwarcia TV Radzyń*

pszszt

Rada Miejska podjęła długo oczekiwaną przez mieszkańców uchwałę o potępieniu międzynarodowego terroryzmu i zobowiązała radzyńską Straż Miejską do bezwzględnego zwalczania jej najdrobniejszych przejawów. Decyzja spotkała się z pozytywnym przyjęciem społecznym. Lokalny dodatek „Gazety Wyborczej” poświęcił wydarzeniu całą szpalnę na pierwszej stronie.

pszszt

Wykonując uchwałę Rady Zarząd Miejski podjął decyzję o codziennym uroczystym wciąganiu na maszt stojący na Placu Wolności flagi Unii Europejskiej o godzinie 6 i zdejmowaniu o godzinie 18. Każdorazowo tej uroczystej chwili towarzyszyć mają dźwięki IX symfonii Ludwika van Beethovena w wykonaniu radzyńskiej orkiestry dętej.

pszszt

Zarząd Miejski przydzielił mieszkania na Koszarach kolejnym rodzinom imigrantów, tym razem kurdyjskiej i czeczeńskiej, dopisując następne punkty w ogólnokrajowym współzawodnictwie samorządów na „Najbardziej otwartą społeczność lokalną”.

pszszt

Radzyniaków zelektryzowała wiadomość, że para prezydencka Kwaśniewskich przyjęła zaproszenie przyjazdu do naszego miasta, którą wystosowała miejscowa komórka SLD. Termin długo oczekiwanej wizyty nie jest jeszcze znany, ale młodzieżówka Sojuszu już zaproponowała podobnym formacjom innych podmiotów politycznych stworzenie wspólnego frontu na rzecz zwalczania mentalnego terroryzmu, który objawia się ksenofobią, rasizmem, faszyzmem przekonanych, by w dniu przyjazdu pary prezydenckiej złożyć na ich ręce deklarację całkowitego poparcia dla poczynających głowy państwa. Dotychczas na apel odpowiedzieli Młodzi Demokraci.

pszszt

Radzyńskie parafie rzymsko-katolickie po raz kolejny zorganizowały dekanalne spotkanie ekumeniczne. Na wspólnych modlitwach i sesji pt. „Jeden Bóg - jeden świat - jedna religia” spotkali się przedstawiciele Kościoła katolickiego, Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, Świadkowie Jehowy, muzułmanie i Żydzi. Po raz pierwszy wzięli w nim udział również ateści, którzy, jak podkreślają, pragną zwrócić uwagę na rolę człowieka we wszechświecie. Ateści wskazują, że sami chrześcijanie, wierząc że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo boże, uznają niejako boską rolę istoty ludzkiej. Podkreślają, że chcą przełamać taki sposób myślenia, w którym szuka się różnic między ateistami a wyznawcami poszczególnych religii, co rodzi odruchy fundamentalistyczne, i zacząć wreszcie podkreślać punkty styczne.

pszszt

Młodzieżowa Rada Miejska wystąpiła do szkół z inicjatywą akcji usuwania z murów naszego miasta szowinistycznych, ksenofobicznych i antysemickich haseł. Akcję poparli dyrektorzy placówek, samorządy uczniowskie i szkolni przedstawiciele stowarzyszenia „Jedna rasa - ludzka rasa”. Farby dostarczyło Przedsiębiorstwo Usług Komunalnych.

Jednocześnie stanowczo zaprzeczono, jakoby efektem akcji było jedynie przemalowanie napisów już istniejących i pojawienie się nowych. Stowarzyszenie „Jedna rasa - ludzka rasa” komentuje te enuncjacje ciągłym nieprzystosowaniem niektórych elementów naszego społeczeństwa do życia w jednej europejskiej otwartej rodzinie pozbawionej uprzedzeń rasowych.

pszszt

W radzyńskich szkołach przeprowadzono eliminacje do cieszącej się coraz większym powodzeniem „Olimpiady wiedzy o Unii Europejskiej”. Dyrektorzy absolutnie zaprzeczają, jakoby masowy udział w olimpiadzie wymuszany był na uczniach szantażem. Pedagog szkolny pani Hanna Cukier wskazała na pozytywny wpływ udziału w olimpiadzie na zdolność percepcji ogólnej dziecka i poinformowała, że istnieje naturalny związek między zaangażowaniem się w uniijną olimpiadę i ogólnym podniesieniem się poziomu wiedzy ucznia, a co za tym idzie poprawą ocen. Przypominamy, że zgłoszenia udziału w olimpiadzie przyjmują poloniści i nauczyciele „Wiedzy o Holokauście”.

pszszt

Stowarzyszenie Młodych Radzyna (SMAR) i Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Amerykańskiej zaprasza na odczyt prof. Leona Pastusiewicza pt. „Wspólny front antyterrorystyczny kośćcem globalnej wioski”. Przy okazji odczytu Radzyński Magazyn Społeczno - Kulturalny „Grot” i „Wspólnota Powiatowa” opublikuje sporządzony przez Straż Miejską wykaz właścicieli

mieszkań, w których w ostatnią rocznicę 11 września w oknach nie zapalono świeczki, symbolu jedności z narodem amerykańskim.

Członkowie SMAR zobowiązali się odwiedzić wszystkie te osoby i przeprowadzić z nimi rozmowy uświadamiające.

pszzst

W sali kina „Oranżeria” odbył się „Koncert na rzecz tolerancji, przeciwko przemocy i faszyzmowi”. Koncert zakończył chwilowo działalność kina, gdyż w sali przeprowadzony zostanie generalny remont. Anonimowy donos o rozpowszechnianiu narkotyków w czasie koncertu nie znalazł potwierdzenia. Rzecznik prasowy KP Policji poinformował, że powodem trafiaenia kilku uczestników imprezy z koncertu prosto na oddział intensywnej terapii miało związek z wykryciem pałeczek salmonelli w ciastkach sprzedawanych w sklepikach szkolnych.

pszzst

Dyrektor Radzyńskiego Ośrodka Kultury i Rekreacji poinformował o decyzji przemianowania OSzPA „Oranżeria” na Festiwal Kultur Mniejszości Narodowych „Oranżeria” w Radzyniu Podlaskim. Decyzja stanowi wyjście naprzeciw społecznym oczekiwaniom...

pszzst

W siedzibie Fundacji Ochrony Zespołu Pałacowo-Parkowego odbyła się promocja kolejnego tomu Radzyńskiego Rocznika Humanistycznego. Zgodnie z sugestią środowiska lokalnych regionalistów stworzono tom tematyczny, który ponownie w całości poświęcony został zagadnieniu wpływu ludności żydowskiej na dzieje miasta i powiatu radzyńskiego. Tym samym rozpoczęto zapełnianie historycznej luki, która tak bardzo zakłamywała charakter dziejowego rozwoju naszego regionu.

pszzst

Na przełomie kwietnia i maja w Sali Konferencyjnej Pałacu Potockich odbędzie się sesja naukowa zorganizowana przez Archiwum Państwowe w Radzyniu Podlaskim pt. „Przejawy kultury Romów w duchowej i materialnej kulturze Południowego Podlasia”. Sesji patronuje Fundacja Batorego. Wstęp wolny.

pszzst

pszzst

pszzst

pyk

Adolfa podróże w czasie

Któż nie lubi od czasu do czasu założyć coś konkretnego. Załóżmy więc, że podróże w czasie są możliwe. Oto jakiś fizyk-szarlatan, nie przejmując się wykładnią nauki, konstruuje time machine i odnosi sukces. Jednakże wyprawa w czasie jest niezmiernie kosztowna i tylko współdziałanie wielu państw mogłoby przynieść powodzenie takiej akcji. Zadaję pytanie: czy powstałby ogólnoswiatowy program wyselekcjonowania odpowiedniego terminatora i wyekspediowania go do Austrii (Linz lub Wiednia) pierwszych lat XX wieku w celu zlikwidowania Adolfa Hitlera, np. w ramach walki ze światowym terroryzmem? I od razu odpowiadam: nie, gdyż wielkim współczesnego świata nie byłoby to na rękę.

Co?! - wrzaśnie jeden z drugim - Jakże to?! Największy zbrodniarz wszechczasów, bóg wojny, który podpalił świat i zdmuchnął z powierzchni globu 20 milionów istnień! Kreator nazistowskiej megii, największy wróg współczesnego, tzw. „cywilizowanego” świata, dla wyznawców którego przeciwnik bardzo szybko ulega metamorfozie w faszystę! I właśnie hier liegt der Dog begraben, jak mawiają Niemcy. Bez Hitlera stara Europa nigdy nie poszłaby taką prostą drogą ku wiecznej szczęśliwości w ustroju demokratyczno-liberalnym, który mamy niestety możliwość testowania obecnie na własnej skórze. Bez doświadczenia nazizmu nie byłoby mitu założycielskiego „Nowego Wspaniałego Świata” (UE) - antyfaszyzmu. Przy czym nie mówię nic kontrowersyjnego, cytuję tylko „samego” Adama Michnika („Gazeta Wyborcza” z 1/2.04.2000 r.). Po wojnie Europę Zachodnią (a zwłaszcza RFN) poddano denazyfikacji i niezwyklej eksperymentowi socjotechnicznemu, którego zadaniem było stworzenie całkowicie nowego społeczeństwa, identyfikującego się z porządkiem demokratyczno-liberalnym i wykazującego tzw. „patriotyzm konstytucyjny”. Sztuczny ów twór przy życiu utrzymywać zaś miały ustawiczne narkotykopodobne zastrzyki finansowe. Działaniem ubocznym był zanik prawicy w systemie politycznym, czego powodem była obawa o zakażenie się stygmatem faszyzmu, tak szczerze serwowanym przez nowych władców (casus Haidera w Austrii i Orbana na Węgrzech). Rozprawa z „faszyzmem” stała (i ciągle stoi) u źródeł udanych ataków na autorytet, tradycyjny model rodziny, porządek społeczny, wartości moralne. Jedynym zaś antidotum na faszyzm jest przecież antyfaszyzm. I koło się zamyka.

Dla kogo bowiem z dzisiejszych wielkich tego świata powrót do Europy z przełomu XIX i XX wieku, epoki kwitnącego antysemityzmu postępowego, byłby do przyjęcia? Nawet do lat dwudziestych XX wieku. Ameryce, która tak wiele zyskała gospodarczo i politycznie na drugiej wojnie światowej? Rosji, kolosowi na glinianych nogach chylącemu się nieuchronnie ku czerwonej zarazie, Bolszewii, która w wyniku Wielkiej Ociecziestwiennej Wojny rozszerzyła granice swych wpływów i z zagubionego na krańcach świata dzikiego kraju nie uznawanego przez społeczność międzynarodową awansowała do roli jednego z biegunów politycznych świata? Diasporze żydowskiej, która w ramach zadośćuczynienia krzywd obdarowana została państwem wykrojonym z ziemi należącej do innego ludu? Nie, nawet za cenę uratowania życia tym nieszczęśnikom, których uśmiercił hitleryzm. Skrycie wyznają zapewne przekonanie Ojców Kościoła Powszechnego, choć zaprawdę nic nie mają z nim wspólnego (a wręcz przeciwnie), że krew męczenników jest fundamentem nowej epoki. Na pewno też nie byłoby to na rękę dzisiejszym rządzącym Unią Europejską socjaldemokratom. Wszyscy owi Verheugen'y, Blair'y, Jospin'y, Schröder'y kryliby się po piwnicach i spiskowali przeciwko swoim państwom za pieniądze ludu sowieckiego, a Michniki, Kuronie, Kwaśniewskie i Millery na szczeblach entej Międzynarodówki Komunistycznej drżeliby w oczekiwaniu na kolejną czystkę płynącą z Kremla, bądź już własnymi rękami odwracali bieg rzek na pustyniach Azji lub kładli tory kolejowe prowadzące donikąd przez nieprzebyte tajgi Syberii. W każdym razie żaden cud nie wyniósłby ich na wyżyny władzy.

Dlatego też żaden z nich nie podpisałby się pod projektem. Któż więc prócz mnie?

PS. Zauważcie Państwo, iż zakładam, że ludzie władzy w Polsce z przekonania (w co osobiście, znając ich przeszłość, nie wierzę), a nie zmysłu koniunkturalnego, trwają na swoich pozycjach. Niech będzie mi to poczytane jako okoliczność łagodząca w procesie usuwania stygmatów.



maj 2002

Spis treści

Podziękowania	4
Od Autora	5
Opuszczamy Europę	6
Pechowy rycerz	8
Z "Ogniem i mieczem" w tle	10
Człowiek załańcuszony	12
Sacrum & profanum	14
Bezsensowność inteligenta	17
Parami na boisko	20
Jak wybrało twoje ciało	23
Duch budowniczych katedr	25
Esperanto, chiński i kurs pieczenia	29
Grudniowe rozważania	31
Władców przydomki wojownicze	33
Strach niewirtualny	39
Kocioł z bigosem	42
Boże broń przed inteligencją!	45
Wojna światów	47
Rycząca pięćdziesiątka	50
Problem Kondrata	52
Jubileusz	54
Kartka z Ejszyszek	57
Wszyscy jesteśmy historykami!	59
Francuska choroba	61
Poprawna Madeline	64
Zabobon, mniejszości i kobiecy szowinizm	66
Koszmar cyrulika	69

Z notatnika rannego ptaszka	71
SPQR	73
Rajskie dorzecze	75
Uwięzieni w formie	77
Gorzki traktat o kosiarzu	79
Widokówka z wakacji	82
Docenieni	85
Folwark europejski	86
Księżniczka i wiedźma	90
Quo vadis	92
Harry Potter i C ₂ H ₅ OH	94
Dziadek	97
Nasze ulice - wasze ulice	99
Ludzkość, czyli tam i z powrotem	101
Smutny koniec maga Mengellusa	104
Kipiel	107
"Księża - patrioci"	109
Sen politycznie poprawny	111
Adolfa podróż w czasie	114

Felieton to sól i pieprz każdego pisma. Znam wiele osób (sam do nich należę), które zaczynają lekturę ulubionego tygodnika właśnie od felietonów - czasem nawet tylko na nich poprzestając. Jacek Podsiadło, Andrzej Dobosz, Jerzy Pilch, Stanisław Tym, Michał Ogórek, Jarosław Krawczyk i jeszcze paru innych autorów to reprezentanci ginącego gatunku felietonistów, którzy łączą erudycję, zmysł literacki, absolutny językowy słuch, olśniewającą formalną sprawność i - co dla mnie najważniejsze - wybitne poczucie humoru. A na dodatek nie kończą im się pomysły po byle trzech numerach.

Kompleksy, jakie rodzi w nas nasz mocno prowincjonalny mikrokosmos, lubimy odreagowywać w typowy dla prowincjuszy sposób: ano pocieszamy się, że robimy dobry ser, że mamy przynajmniej jednego prawdziwego barda, posiadamy czarnoskórego piłkarza i wyjątkowej urody pałac. Jednym słowem, że coś nas pozytywnie wyróżnia z zalegającej wszędzie szarej masy. Ta książeczka to jeszcze jeden lek na kompleksy - jest to bowiem dowód, że mamy w Radzynie Dariusza Magiera.



Dima to felietonista co się zowie. Umysł jak brzytwa, zwarta wizja rozpadającej się rzeczywistości, wygrana walka, by "odpowiednie dać rzeczy, słowo" i dowcip, dowcip, jeszcze raz dowcip. Można się z Dariuszem Magierem nie zgadzać w tak zwanych kwestiach zasadniczych: jest to facet, który - mówiąc eufemistycznie - nie popełni samobójstwa z rozpaczys jeśli w 2004 nie wejdziemy do Unii Europejskiej. Ale nawet mnie, starego internacjonała, zdobył on i podbił, choć nie siłą apokaliptycznej wizji otaczającego nas świata, a samą maestrią jej przedstawienia i inteligentnym humorem. A zresztą - właśnie po to Wałęsa skakał przez płot, żebyśmy mogli teraz "mówić o tym, co nas boli otwarcie" i nie przejmować się żadnymi oficjalnymi stanowiskami.

Na wartość tej publikacji duży wpływ mają jak zawsze znakomite rysunki Przemka Krupskiego, który stanowi 1/2 każdej spółki autorskiej w tym mieście.

Zachęcam. To znakomita książka.

Adam Świć
czerwiec 2002 r.